F-504
II

Chałupniczka

PISMO P.S.K.

Rok II | Wrzesień | Nr 12

EX LIBRIS
N. IT. DĄBROWSKICH

TREŚĆ NUMERU

1. Rocznica wrześniowa . . . *Z. S.*
2. Tradycja wojenna Warszawy . . . . . *Edmund Oppman*
3. Są już w tamtej sprawie *W. B.*
4. Na początku szóstego roku wojny . . . . *Jarosław Żaba*
5. Nam ducha starczy . .
6. Kobiety świata milczą . *Herminia Naglerowa*
7. W dniu imienin Inspektorki Gł. Bronisławy Wysłouchowej . . .
8. Kształt ma serca — jak serce boli . . . . *Jadwiga Czechowiczówna*
9. P. S. K. w służbie transportowej . . . . . *J. B. S.*
10. Kierowczyni mówi . .
11. Koleżeństwo w naszej kompanii . . . . . *Nina Nitecka*
12. Codzienna praca . . . *Maria Dąbrowska*
13. Komendantka zła i dobra . . . . . *Ochotniczka*
14. Polskie lotniczki . . . *A. Dobrowolska*
15. Z tańcem i pieśnią u rannych . . . . . *Maria Weber*
16. Ranek w ogrodzie . . *Z. Bohdanowiczówna*
17. W zachodzącym słońcu *Genowefa Supczak*
18. Lwów we wrześniu 1939 r. . . . . *K. W.*
19. Walentowa . . . . . *Władysław Gieysztor*
20. Monika Gardner . . . *Maria Kuncewiczowa*
21. Rzym widziany oczami ochotniczki . . . . *Hanka, Danka albo Krysia*
22. San Michele . . . . . *dr Henryk Berger*
23. Listy do Redakcji . . .
24. Kronika . . . . . .

Padres Franciscanos
c. Juan Pablo I, 2360
1682 MARTIN CORONADO
Pcia. Buenos Aires
ARGENTINA
Tel/Fax: (0054) 11 4862-0589
E-mail: jurek@uolsinectis.com.ar

WŁOCHY 1944

„Ochotniczka" ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: *Oddział Propagandy i Kultury A. P. W.*
Redaktorka Naczelna: *dr Herminia Naglerowa*
Adres redakcji i administracji: *Polforces CMF 58*

„Ochotniczkę" nabywać można w Referatach Prop i Kultury A. P. W., w Oddziałach P. S. K., w Kantynach polowych oraz Świetlicach

Cena 20 lirów

Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W.

EX LIBRIS
N. IT DABROWSKICH

ROCZNICA WRZEŚNIOWA

5 lat temu rozpoczęła się wielka wojna światowa od ataku Rzeszy Niemieckiej na Polskę o świcie dnia 1 września roku 1939. W 2 dni później po 48 godzinach narad i rozważań, Wielka Brytania, a następnie Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Wojna stopniowo obejmowała coraz nowe kraje Europy, aż wreszcie w grudniu 1941 przeniosła się na Pacyfik, gdy Japończycy zaatakowali Stany Zjednoczone. W ten sposób wojna rozpoczęta u naszych granic opasała całą kulę ziemską i wprowadziła w swoje krwawe zapasy niemal całą ludzkość.

Rocznica wybuchu wojny przypomina nam jej przyczyny i zmusza nas do ponownego uświadomienia sobie o co walczymy, kto jest naszym przyjacielem, a kto wrogiem, jakie są nasze cele wojenne i w jakim wypadku będziemy mogli sobie powiedzieć, że wojnę wygraliśmy, a w jakim wypadku będziemy musieli przyznać, że ponieśliśmy klęskę.

Oczywiście, dopóki wojna trwa i pokój nie jest zawarty, przedwczesne są wszelkie głosy pesymizmu czy optymizmu. Dopóki bowiem wojna trwa, nikt, bezwzględnie nikt nie może i nie ma prawa przesądzać jej wyniku, zwłaszcza, gdy miałoby to prowadzić do utraty wiary w zwycięstwo i do osłabienia napięcia walki. Dopóki wojna trwa, każdy z nas Polaków jest obowiązany robić wszystko możliwe i na wszystkich polach wysiłku wojennego, aby zwycięstwo zostało odniesione. I trzeba zarazem odsuwać wszelkie myśli i nastroje, które by tę wolę zwycięstwa podkopywały i osłabiały.

Trzeba sobie uświadomić ten obowiązek szczególnie dlatego, że obecna faza wojny nie wróży nam zwycięstwa i możnaby łatwo popaść w pesymizm, któryby przedwcześnie odebrał nam wiarę i wolę walki. Tymczasem jest rzeczą zupełnie możliwą, że wojna wejdzie w nową fazę, w fazę ostateczną, w której zwycięstwo Polski będzie możliwe i pewne, jeśli nie osłabimy naszego wysiłku i zrobimy wszystko, co do nas będzie należeć, aby zwycięstwo zostało osiągnięte.

W pierwszym okresie wojny po jednej stronie stały narody demokratyczne i kochające wolność, które poszły za Rzeczpospolitą Polską, aby bronić się przeciwko imperializmowi niemieckiemu. W tym okresie, który trwał do czerwca roku 1941, Rosja Sowiecka formalnie neutralna, dawała faktyczne poparcie Rzeszy Niemieckiej. Poparcie to miało ogromne znaczenie dla Hitlera, który mógł się zdobyć na rozpętanie wojny i atak na Polskę dopiero po zawarciu w dniu 25 sierpnia 1939 układu ze Związkiem Sowieckim. Główną treścią tego układu było ustalenie wspólnego postępowania w stosunku do Polski, interwencja sowiecka z dnia 17 września czyli uderzenie z tyłu na, broniącą się przed armiami hitlerowskimi, Polskę i ostatecznie podział obszaru Rzeczypospolitej pomiędzy oba totalistyczne mocarstwa. Od września 1939 do wybuchu wojny niemiecko sowieckiej w czerwcu 1941 oba te mocarstwa totalistyczne, działając w porozumieniu, niszczyły każde ze swojej strony naród polski z całą właściwą im bezwzględnością i nienawiścią.

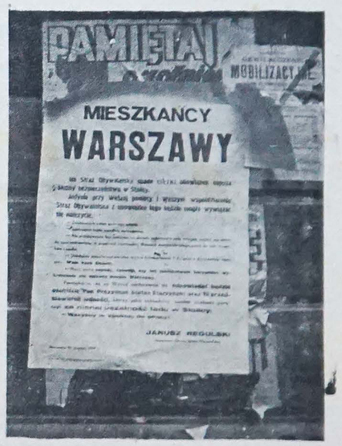

Plakat wzywający ludność Warszawy do zachowania spokoju (po wkroczeniu Niemców 1939 r.)

Ulica zasypana rumowiskiem

W tym okresie Niemcy oparte o przyjazną neutralność Rosji posiadały ogromną przewagę militarną nad swoimi przeciwnikami i bliskie były zwycięstwa. W okresie tym jednakże narody koalicji antyniemieckiej miały jasną i wyraźną ideologię wojenną oraz opartę na niej jasne cele wojenne, w których wolność i równość narodów, całość ich obszarów państwowych nie była przez nikogo kwestionowana. Ideologia ta została sformułowana w t.zw. Karcie Atlantyckiej, czyli w uroczystej deklaracji, ogłoszonej przez Churchilla i Roosevelta w sierpniu 1941, do której następnie przystąpiły wszystkie inne państwa koalicji antyniemieckiej.

Karta Atlantycka głosi, że wszystkie narody winne zachować swoją wolność i swój przedwojenny obszar państwowy, że mają równe prawa bez względu na to, czy są wielkie, czy mniejsze i że każdy z nich będzie mógł urządzić swoje życie wewnętrzne według własnej woli, bez nacisku z zewnątrz, ze strony obcej.

Wbrew Karcie Atlantyckiej, w obecnym okresie wojny powstały tendencje do rozróżniania praw narodów wielkich czyli głównych mocarstw i narodów mniejszych, albo małych, których los miałby być oddany w ręce trzem albo czterem mocarstwom. Plany powojennej Ligi Narodów, która ma obejmować całą kulę ziemską, układane ostatnio na konferencji w Dumbarton Oaks, idą w tym kierunku. Prócz tego wiadomo, że Rosja — wbrew wyraźnym tezom Karty Atlantyckiej — dąży do powiększenia swego obszaru kosztem państw innych i to nietylko wrogich, które współdziałały z Hitlerem, ale w szczególności kosztem Polski, która jest pierwszym członkiem koalicji antyniemieckiej.

Jest rzeczą oczywistą, że zwycięstwo nad Niemcami, które skończyłoby się dla nas utratą połowy terytorium, byłoby nietylko klęską naszą, zadaną nam przez własnych sprzymierzeńców, byłoby nietylko kompromitacją celów wojennych sformułowanych w Karcie Atlantyckiej, ale stałoby się największą w dziejach klęską i największym pogwałceniem podstawowych zasad moralności i sprawiedliwości międzynarodowej. Nowy rozbiór Polski jako rezultat zwycięstwa nad Niemcami Hitlera oznaczałby, że Niemcy zostały pokonane, ale hasła bezprawia, triumfu siły nad prawem i imperializmu nad zasadą wolności narodów zwyciężyłyby pomimo klęski Niemiec hitlerowskich.

Taki rezultat wojny stałby się nietylko klęską i grobem naszego narodu. Byłaby to klęska cywilizacji chrześcijańskiej i europejskiej, po której świat oparty na przemocy i gwałcie, na triumfie pogańskiego barbarzyństwa nie zaznałby napewne błogosławieństw pokoju. Zawarty na tych zasadach pokój byłby tylko krótkim zawieszeniem broni i wstępem do nowych wojen, w których musiałyby się zetrzeć pomiędzy sobą imperializmy te same, które świat między siebie podzielą. Pokój bo-

Nowy Świat w gruzach

Zburzony most (1939 r.)

wiem nie mający za podstawę żadnej zasady moralnej, a będący tylko wyrazem układu brutalnych sił wojennych i materialnych nie byłby godny nazwy pokoju. Byłaby to „pax germanica" zbudowana po zwycięstwie nad Niemcami — na korzyść drugiego państwa totalistycznego i imperialistycznego.

Wojna jednak, jeszcze nie została ukończona i musimy wierzyć, że prowadzące ją zwycięskie narody zrozumieją, zanim do zawarcia pokoju dojdzie, błędność tej drogi, na której się w tej chwili znajdują. Musimy wierzyć, że powrócą wczas do tej ideologii wojennej, której wyrazem była Karta Atlantycka. Jako Polacy, ze swojej strony musimy zrobić wszystko, aby tak się stało. Aby nie poszły na marne te wszystkie olbrzymie ofiary, które zostały złożone w tej wojnie, aby dzięki tym ofiarom zbudowano lepszy świat wolności narodów, równości narodów i dobrobytu.

Aby widmo Europy ginącej w więzieniach, łagrach, obozach koncentracyjnych, i dławionej pod jarzmem totalistycznym — zostało usunięte na zawsze.

Z. S.

TRADYCJA WOJENNA WARSZAWY

Krzyż Virtutj Militari i Krzyż Niepodległości, dumnie ozdabiające tarczę herbową stolicy Rzeczypospolitej Polskiej, oddają w pełni nić przewodnią wkładu Warszawy do duszy i dziejów Narodu.

Warszawa przodowała w polskim ruchu niepodległościowym. Była miastem, które wytrwale i wiernie stało na straży narodowej wolności, które w ciężkich chwilach ogniskowało życie ideowe kraju, które nie tylko głosiło wielkie ideały, lecz ofiarnie o nie walczyło i prawdy głoszone pieczętowało krwią swych mężnych synów. Warszawa pierwsza podejmowała idee, niepodległości i wolności, a ostatnia wychodziła z pola walki o wolność narodu i jednostki, stworzyła tradycję świętej wojny o słuszne i sprawiedliwe ideały. Zasłynęła z idei wolności narodowej i obywatelskiej, z idei szczytnego demokratyzmu i sprawiedliwości społecznej, okryła się głośną chwałą bohaterskich i ofiarnych wysiłków orężnych, których celem była obrona umiłowanych ideałów i ich realizacja.

Jedną z tradycji Warszawy jest jej legenda wojenna. W niejednej wojnie, w niejednym ruchu zbrojnym uwydatnił się głośny i budujący wysiłek wojenny stolicy, nigdy jednak Warszawa nie walczyła o poziome lub egoistyczne cele, zawsze oddawała krew swych synów za naprawdę wielką sprawę. Sława wojenna Warszawy stanowi jednocześnie krzyżową drogę szczytnych ideałów.

Ta Warszawa, będąca dla nas najdroższym symbolem Polski, jest stolicą Rzeczypospolitej zaledwie czwarte stulecie. Znamiennym trafem pierwsze lata Warszawy jako stolicy państwa zbiegły się z głośnymi czynami polskiego wojska i pierwsze znaczniejsze wydarzenie w stolicy związane było ze sławą polskiego oręża. Pewnego październikowego dnia 1611 roku powracał do Warszawy, z pola walki opromieniony wiekopomnymi zwycięstwami hetman Stanisław Żółkiewski. Orszak jego, poprzedzany przez znakomitych jeńców z carem moskiewskim Wasylem Szujskim na czele, posuwał się ku zamkowi wśród niemilknących okrzyków na cześć bohaterskiego hetmana i jego walecznych żołnierzy. Hetman meldował królowi, iż w Moskwie i na Kremlu stoi polska załoga i zakomunikował szczegóły bitwy pod Kłuszynem, w której siedem tysięcy jazdy rozproszyło pięćdziesięciotysiączne wojsko moskiewskie i otworzyło dla Polaków drogę do stolicy moskiewskiego państwa.

Ten wspaniały obraz stał się symbolem uczuć Warszawian, marzących o potędze i sławie swego kraju.

Warszawa w owym czasie nie miała jednak możności wpływania na bieg wypadków historycznych. Mieszczaństwo polskie zupełnie odsunięte było od rządów, szlachta, obwarowana licznymi przywilejami, nie dopuszczała innych warstw do głosu. Dopiero pod koniec XVIII stulecia, w okresie Sejmu Czteroletniego mieszczaństwo warszawskie wstępuje na szerszą widownię polityczną. Występuje odrazu z dużą mocą i pełną świadomością swych dążeń.

Warszawa stanowiła już wówczas największe miasto w Polsce i odgrywała centralną rolę w życiu przemysłowo-handlowym kraju. Teraz wystąpiła jako pionierka aspiracji budzącego się do politycznego życia mieszczaństwa polskiego. T. zw. „czarna procesja", wielka polityczna demonstracja mieszczan warszawskich na parę miesięcy przed uchwałą sejmową 3 Maja, uwidoczniła potęgę warszawskich kupców, rzemieślników i czeladników, nakazała sejmowi liczyć się ze stanowiskiem Warszawy i udzieliła stronnictwu reform możnego poparcia.

Po ustanowieniu Konstytucji 3 Maja 1791, równającej mieszczan ze szlachtą w obliczu prawa i gwarantującej im pewne choć jeszcze ograniczone wpływy na rządy w kraju, Warszawa staje się ośrodkiem ruchów niepodległościowych i postępowych. Rzeczpospolita w tych czasach szybko chyli się ku upadkowi, staje się powolnym łupem sąsiednich państw, w pierwszym rzędzie Rosji i Prus. Po przegranej wojnie 1792 r. następuje drugi rozbiór Polski i Warszawa otrzymuje garnizon rosyjski, choć wchodzi w skład tej części ziem polskich, które formalnie stanowią jeszcze niezależne państwo. Przez chwilę nawet stolica nie może się pogodzić z myślą o tym rozbiorze i stacjonującym w jej murach wrogim wojskiem. Zorganizowane tajne stowarzyszenie rewolucyjne, utrzymujące stały kontakt z niepodległościową emigracją gen. Tadeusza Kościuszki, ks. Hugona Kłłątaja i Ignacego Potockiego, gorączkowo przystąpiło do prac nad zmontowaniem ruchu zbrojnego, którego celem miało być wyzwolenie Polski od obcych rządów i przywrócenie jej zabranych ziem. Wybitni warszawscy działacze rewolucyjni jak ks. Meyer, właściciel zakładu szewskiego Kiliński, właściciel sklepu rzeźnickiego Zygmunt Sierakowski, przedstawiciel inteligencji warszawskiej Naruszewski i Konopka, członek konfraterni kupieckiej Krygier i inni przygotowali z rozmachem powstanie. Na wieść o proklamowaniu przez Kościuszkę w Krakowie 24 marca 1794 r. insurekcji, mieszczanie warszawscy w kwietniu w święta Wielkanocne chwycili za broń i przy pomocy nielicznych polskich oddziałów wojskowych w trzydniowych krwawych walkach ulicznych wyzwolili miasto spod władzy rosyjskiego wojska, dając podstawę do rozszerzenia ruchu kościuszkowskiego

Powstanie kościuszkowskie w lwiej części opierało się na Warszawie. Dwumiesięczne oblężenie stolicy przez wojska rosyjskie i pruskie zostało odparte przez wojsko polskie Kościuszki, wspomagane przez ludność Warszawy. Dziesięć procent ogółu obywateli stolicy walczyło na jej szańcach z bronią w ręku. Postawa społeczeństwa warszawskiego walnie przyczyniła się do obrony stolicy. I po nieszczęśliwej jeszcze klęsce Tadeusza Kościuszki pod Maciejowicami i zagarnięciu rannego wodza do niewoli rosyjskiej, gdy niewiara i zwątpienie całkowicie ogarnęły polskie szeregi, Warszawa chciała walczyć nadal i z trudem następcy Kościuszki Wawrzeckiemu udało się uspokoić Warszawian, którzy wylegli na miasto z żądaniem prowadzenia ich dla odbicia z niewoli ukochanego Naczelnika.

Powstanie kościuszkowskie wykazało dobitnie, iż podstawą ruchów niepodległościowych stanowi mieszczaństwo warszawskie, które gotowe jest oddać swe życie za wyznawane ideały. A tymi ideałami były niepodległość kraju i wolność obywatelska, była wizja Polski niepodległej i Polski nie jednej grupy lub warstwy społecznej, lecz całego narodu.

W dobie Królestwa Kongresowego w dalszym ciągu Warszawa reprezentuje najwyższy ośrodek poczynań niepodległościowych.

Wybuch powstania 29 listopada 1830 r. był całkowicie dziełem stolicy. Podchorążowie Wysockiego i młodsi oficerowie polskiego stołecznego garnizonu chwycili za broń w oparciu o mieszczan warszawskich. Grunt do powstania stworzyły warszawskie koła rewolucyjne, którym przewodzili literaci, adwokaci i studenci. Mochnacki, Nabielak, Kozłowski, Szweycer i inni. Ruch podchorążych w oka mgnieniu objął ludność stolicy i ruch warszawskich rzemieślników i czeladników zadecydował o zwycięstwie. Za przykładem Warszawy poszła dopiero prowincja i wojsko Królestwa.

Warszawa nadała również powstaniu listopadowemu właściwe oblicze ideologiczne. Podczas gdy sfery ziemiańskie i wojskowe starały się jedynie o ograniczenie ruchu do obrony gwałconej konstytucji, Warszawa wystąpiła z szerokim programem całkowitego zerwania związku z Rosją, więc walki o Polskę niepodległą i odebranie od Rosji ziem litewsko-ruskich i walki o przeobrażenie społeczno-polityczne Polski, więc Polski, opartej na szerszych masach społeczeństwa. Narzuciła Warszawa powstaniu hasło „Za naszą i waszą wolność". Wysunęła również sprawę konieczności reform włościańskich, nie potrafiła jednak przełamać w tym względzie oporu polskich sfer konserwatywnych. Podczas całego okresu trwania ruchu listopadowego mieszczaństwo brało w nim udział wydatny aż do rozpaczliwej obrony szańców Warszawy. Epizodami jej to śmierć Sowińskiego i reduta Ordona.

W następnym etapie walk niepodległościowych Królestwa, Warszawa znowu odegrała rolę przodującą. W stolicy, powstały zawiązki ruchu styczniowego 1863 r. Z Warszawy rządził Królestwem i Litwą tajny Rząd Narodowy, warszawska organizacja rewolucyjna była jądrem ruchu i ona dała największą ilość powstańców, walczących w różnych oddziałach prowincjonalnych. Ona również skrystalizowała ideologię powstania, wysuwając hasła niepodległości kraju, rownouprawnienia, demokracji i nadania włościanom ziemi na własność.

Dalsze etapy polskich walk niepodległościowych nadal przysparzają Warszawie zaszczytnej sławy. W latach 1904-1907 warszawcy robotnicy zacięcie walczą z policją i wojskiem rosyjskim, zapoczątkowując słynną demonstrację na placu Grzybowskim w 1904 roku — ruch rewolucyjny, zdążający do wywalczenia niepodległości kraju i sprawiedliwego ładu społeczno-politycznego.

11 listopada 1918 roku to znowuż triumf Warszawy. Tego dnia ludność stolicy rozbroiła garnizon niemiecki, dając początek Niepodległości Polski.

W cierpniu 1920 roku podczas inwazji bolszewickiej postawa Warszawy stanowiła mocne oparcie moralne dla wojska, walczącego na jej przedmieściu. Wszyscy zdolni do walki obywatele Warszawy zaciągnęli się do szeregów wojskowych. Mogiły uczniów gimnazjalnych, studentów, robotników, inteligentów warszawskich obok mogił włościan polskich nadto wymownie świadczyły o wysiłku wojennym Polski ludowej i warszawskiej ludności.

Spalone miasteczko (1939 r.)

W tragicznej kampanii wrześniowej 1939 r. Warszawa zasłynęła ze swego bohaterstwa na cały świat. Gdy rząd i władze wojskowe opuściły już stolicę — Warszawa nie poddała się, kontynuowała walkę przeciw nawale germańskiej, mając do swej obrony warszawskie robotnicze bataliony. Prezydent Starzyński, ucieleśnienie bohaterstwa stolicy, sprężyście organizuje jej obronę, gen. Czuma dowodzi improwizowanym wojskiem. Przyjmuje Warszawa w swe mury cofającą się armię łódzką gen. Rómla i bohaterskie oddziały armii poznańskiej i pomorskiej, dając im oparcie do dalszych walk. Wytrzymuje stolica trzytygodniowe oblężenie, nieustanne, okrutne naloty powietrzne wroga i jego huraganowy ogień artyleryjski. Nieugiętego stanowiska Warszawian nie zachwiały liczne bardzo ofiary. Warszawiacy dzielnie wspomagają walczące polskie oddziały. Robotnicze bataliony walczą zażarcie, robocze kompanie, złożone z obywateli, zajmują się, pod nalotami, umacnianiem barykad i usuwaniem wyrządzanych szkód, kobiety warszawskie bohatersko pracują w obronie przeciwlotniczej i w szpitalach. W dzień kapitulacji stolicy z powodu kompletnego braku żywności i wody ostatnie schodzą ze swego posterunku warszawskie ochotnicze bataliony.

Złożenie broni przez Warszawę nie stało się jednak istotną kapitulacją, nastąpiło jedynie chwilowe zaprzestanie rozpaczliwej czynnej obrony. W dalszym ciągu Warszawa swą postawą wskazuje, iż w stosownej chwili chwyci za broń, by uwieńczyć zwycięstwo ideałów niepodległości i demokracji.

Edmund Oppman

* * *

Artykuł „Tradycja wojenna Warszawy", pisany na długo przed obecnymi wydarzeniami, domaga się dziś innego zakończenia. Druga w tej wojnie bitwa o Warszawę odsuwa nie tylko w przeszłość, ale i w cień wszystkie dotychczasowe porywy bojowe i bohaterskie stolicy Rzeczpospolitej. Warszawa bowiem porwała za broń przeciw Niemcom w momencie zdawałoby się odpowiednim, bo wojska sowieckie już stały na przedmieściach stolicy. Stało się jednak coś, czego nie można inaczej tłumaczyć, jak wrogością także tej armii, której powstanie warszawskie szło raczej na rękę. Armia sowiecka pod Warszawą bezczynnie przypatruje się tragedji miasta, tragedji ludności, krwawym wysiłkom Armii Krajowej.

Warszawa, pozbawiona wody, żywnosci, amunicji, bombardowana, niszczona pożarem, bije się o każdy dom, o każde piętro domów. W piątym roku wojny, kiedy sprzymierzeni odnoszą sukcesy nad Niemcami na wszystkich frontach, kiedy na tych frontach walczą oddziały Polskiej Armii — stolica Polski bije się z Niemcami bez pomocy, bez nadziei. Więcej — ta największa tragedia tej wojny jest przemilczana nieomal wstydliwie. Przez wielu zaś, wspaniałe bohaterstwo Armii Krajowej, ludności cywilnej — z udziałem kobiet i dzieci — jest umniejszane dla celów politycznych.

Warszawa walczy od dnia 1-go sierpnia. Jest to jeszcze jeden rozdział do dziejów jej „tradycji wojennej". Ale nie o kontynuowanie tylko tej tradycji walczy Warszawa. Warszawa — stolica walczy o wolność, niepodległość i całość Polski.

NA OKŁADCE „OCHOTNICZKI" umieściłyśmy zdjęcie Pałacu Łazienkowskiego w Warszawie, zniszczonego przez Niemców podczas ostatnich walk w stolicy. Pałac Łazienkowski zbudowany został w XVIII wieku przez króla Stanisława Augusta. Gdy Zamek Królewski urastał zwolna na reprezentacyjną rezydencję, Łazienki miały służyć prywatnemu życiu króla. Końca budowy Łazienek król już nie oglądał. Ostatnie rusztowania spadły z murów Pałacyku, gdy króla już nie było nie tylko w Warszawie, ale i na tronie. Łazienki to jedna z najpiękniejszych kompozycyj artystycznych, jakie wogóle wydał wiek XVIII.

SĄ JUŻ W TAMTEJ SPRAWIE...

Są już w tamtej sprawie druki suche, obojętne,
Są liczby, grafikony, daty, komentarze,
Są też dane szczegółowe, mapy, dokumenty
Statystycznie ujęty bieg tragicznych zdarzeń.

W tabelki uwięziono trudy, śmierć i rany,
W wykazie kolorowym krwi wylanej ogrom,
Spuchliznę stóp żołnierskich przemieniono w plany,
A noce nieprzespane w szkice zamieniono.

Liczby, sumy i skróty, techniczne wyrazy
Przemieniają się w łoskot armat, huk moździerzy,
W odgłos czołgów przechodzą spokojne wykazy,
Z taktycznych map grzmi twardo zwarty krok żołnierzy.

Idą spod Ciechanowa, Łowicza, Sieradza,
Raszyna i Grudziądza, Różan, Częstochowy,
Spod Miocin i Ossowca. Pamięć wyprowadza
Ciągle inne zastępy. Teraz idzie nowy,

Ten jest spod Sochaczewa, tamtem z Annopola,
Z puszczy kampinoskiej, z biłgorajskich lasów,
Idzie z nimi strudzona żołnierska niedola,
Spłynęła smutna Bzura krwi najczystszej krasą...

Słyszycie huk eksplozji — to saper nieznany
Most w powietrze wysadził z Niemcami — i... z sobą.
Wiedział tyle, że rozkaz ma być wykonany
A nie było innego ponad śmierć — sposobu.

Patrzcie tam! To szaleniec: na niemieckie tanki
Kapral z pułku piechoty krakowskiej — wskakuje,
Zagiew w ręce płonącą — z benzyną blaszanki
A bagnet w klapie czołgu drogę już toruje...

Widzicie? Tu padają kolejno dowódcy:
Kapitan i Porucznik, Sierżant, Plutonowy,
Na odcinek wróg pewnie wedrze się już wkrótce —
Nie! Nie — bo właśnie teraz wziął dowództwo nowy:

Starszy strzelec z kompanią prowadzi natarcie
I ginie na jej czele w szlifach własnych ran.
Tych rzeczy żadna cyfra nie odda na karcie,
Nie zamkną żadne skróty, nie pomieści plan.

Tych zmagań nie opiszą żadne komentarze —
Nie ma skali dla cierpień, poświęceń i trudów.
Z wykresów patrzą na nas tych żołnierzy — twarze...
Z dat legenda się rodzi — dla polskiego ludu.

W. B.

Niemiecki plakat w 1939 r.: „Anglia to twoje dzieło"

zdzierany z kiosków i murów przez ludność polską

NA POCZĄTKU SZÓSTEGO ROKU WOJNY

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Anglosaski Blitzkrieg

W błyskawicznym tempie wydarzeń na przełomie 5 i 6 roku wojny trudno pokusić się o nawet najbardziej ogólny przegląd wydarzeń miesiąca, jeśli nie ma to być spis wydartych Niemcom już nie miast, a prowincyj i krajów, czy zestawieniem karkołomnych politycznych akrobacyj sowieckiego partnera.

Na froncie zachodnim armie anglo-saskie zakończyły 5-ty rok wojny rozpętaniem, jedynego w swoim rodzaju, pochodu kolumn pancernych ku granicom Rzeszy, pochodu, który swą szybkością pobił zarówno niemiecki „Blitzkrieg", jak i ofenzywy sowieckie.

Armie sprzymierzonych, po przebiciu się przez pierścień nadbrzeżnych umocnień, po odparciu silnych niemieckich przeciwuderzeń, zmierzających do rozcięcia sił w Normandii i Bretanii ruszyły śmiałymi zagonami pancernymi ku stolicy Francji, ku belgijskiej granicy i na południe.

15. VIII. nastąpił desant wojsk sprzymierzonych na południowym wybrzeżu Francji. VII armia, nie napotykając na opór, któryby można porównać z oporem na północy, wespół z armiami idącymi na południe z wybrzeża Antlantyku, zagroziła rozcięciem Francji i otoczeniem wojsk niemieckich we Francji południowej i zachodniej. Rozpoczął się generalny odwrót niemiecki, który w wielu miejscach przemienił się w dezorganizowaną ucieczkę. Obecnie VII armia idąc wzdłuż granicy szwajcarskiej, znalazła się o 20 mil od Belfortu, broniącego dostępu do Niemiec południowo-zachodnich.

Tymczasem armie północne doszły do granicy belgijskiej, zajęły nieomal całą Belgię, przekroczyły granicę Holandii, wkroczyły do Luksemburgu, a wreszcie uderzyły na umocnienia linii Zygfryda. Wojna przeniosła się na terytotorium samych Niemiec. Pierwsze miasto niemieckie Rotgen (na płd. zachód od Akwizgranu) znalazło się w ręku sprzymierzonych. Szereg zewnętrznych fortyfikacyj linii Zygfryda został zdobyty. Niemcom nie pomógł ani „wał atlantycki", ani pancerne dywizje szczodrze rzucane do przeciwuderzeń.

Trzy prawdy rysują się szczególnie wyraźnie na tle anglo-saskiego „Blitzu" we Francji:

1) Mimo zapowiadanej od dawna ofenzywy sowieckiej na Prusy Wschodnie, a nawet Berlin, właściwie poważnie na ziemi niemieckiej pierwsi stanęli Anglosasi.

2) Marszowi wojsk anglo-saskich towarzyszył zryw podziemnych sił francuskich na skalę taką, z jaką porównać się może tylko bohaterska Warszawa. Armie anglo-saskie i idące wespół z nimi oddziały francuskie i polskie, zostały przez ludność sterroryzowanej Europy przyjęte jak armie niosące rzeczywiste wyzwolenie. To Warszawa pierwsza, a Paryż drugi — były stolicami, gdzie sztandary wolności zatknęły oddziały armii podziemnej, zanim przyszły armie z zewnatrz.

3) Rozwinięty przez Anglosasów „Blitzkrieg" zademonstrował światu siłę militarną, conajmniej równą każdej innej istniejącej obecnie. Okazało się, że państwa anglosaskie są w posiadaniu doświadczonych sztabów, wyszkolonych wojsk, zasobów przemysłowych, które poparte zdecydwaną wolą polityczną, są w stanie nietylko łamać niemiecką potęgę, ale i zdecydować o przyszłym wyglądzie świata.

Lecz równocześnie, najbardziej nawet pobieżny obserwator wypadków, zauważyć musi, że właśnie w momencie szczytowych osiągnięć militarnych Anglosasów nie stoi za nimi zdecydowana wola polityczna, świadomość własnej siły i chęć ułożenia stosunków w świecie, według zasad, w imię których na początku wojny mobilizowano świat przeciwko hitlerowskiemu niebezpieczeństwu. Wola polityczna państw anglosaskich pozostaje nadal pod kuratelą jednego z partnerów, mającego swoje własne, dla nas Polaków bardzo przejrzyste cele.

Obecnie we Francji armie anglosaskie przystąpiły do kruszenia linii Zygfryda, a równocześnie lotnictwo sprzymierzonych na skalę dotąd nie spotykaną, przeprowadza bombardowanie całego terytorium Rzeszy od Renu do Berlina (6500 samolotów nad Rzeszą w ciągu doby 14.IX.).

Równocześnie we Włoszech trwa systematyczne łamanie linii Gotów, mające na celu zepchnięcie Niemców z ich ostatnich doskonałych pozycyj górskich w doline rzeki Po. Na odcinku adriatyckim nie kto inny, jak 2. Polski Korpus przesunął front o 280 km. na północ, mając za sobą szereg nieprzerwanych sukcesów od Pescary do linii Gotów.

Łatwe sukcesy na wschodzie

W tym samym czasie, gdy armie sprzymierzone na zachodzie i południu łamią dwa potężne niemieckie systemy obronne: linii Zygfryda i linii Gotów, na froncie wschodnim sytuacja kształtuje się odmiennie. Wojska sowieckie doszły do granicy Prus Wschodnich (nie mniej wojska niemieckie pozostały w krajach bałtyckich) i nie widać większych prób przełamania tamtejszych fortyfikacji. Więcej, wojska sowieckie do ostatnich dni zwlekały z uderzeniem w kierunku Warszawy.

Natomiast armia czerwona jako zasadniczy swój kierunek obrała Bałkany, gdzie bez większych bitew zajmuje coraz to nowe tereny, głównie presją polityczną i militarną. W ten sposób wojska sowieckie zajęły już nieomal całą Rumunię, Bułgarię, otarły się o granicę Jugosławii, przekroczyły granicę Czechosłowacji, Węgier, a wreszcie wkroczyły do Grecji.

Żadnego z zajmowanych przez armię czerwoną państw nie uchroniły przed okupacją sowiecką ani rozmowy pokojowe z państwami anglosaskimi, ani zmiany gabinetów, ani ogłoszenie zupełnej neutralności, ani nawet wypowiedzenie wojny Niemcom.

Rumunia oddawna prowadziła — przez Ancarę od czasu misji ks. Stirbey — rozmowy pokojowe z przedstawicielami W. Brytanii i Stanów Zjedn. Wreszcie po orędziu królewskim, Rumunia zerwała z Niemcami i przeszła do obozu sprzymierzonych. Lecz po warunki przyjęcia do obozu sprzymierzonych musiała wysłać swych przedstawiecieli do... Moskwy. Armia czerwona okupowała Rumunię, a warunki podyktowane w Moskwie oznaczają w praktyce oddanie Rumunii na łaskę i niełaskę Rosji. Warunki te przewidują m. in: oddanie Besarabii Z.S.R.R., oddanie prasy, radia, a nawet ścigania elementów „faszystowskich" pod kontrolę „sowieckich dowódców wojskowych", wypłacenie przez Rumunię 300 milionów dolarów tytułem odszkodowań wojennych na rzecz Rosji Sowieckiej.

Bułgarii również nie pomogła zmiana rządu. 7. IX. Rosja wypowiedziała Bułgarii wojnę pod pretekstem, że rząd bułgarski tylko pozornie zerwał z Niemcami. Rząd Bułgarski zwrócił się z prośbą o zawieszenie broni, otrzymał żądanie wypowiedzenia Niemcom wojny. Wojnę wypowiedział, wtedy okazało się, że mimo wszystko jest „rządem faszystowskim" i musiał ustąpić. W Bułgarii pod presją rosyjską mianowano pierwszą w historii świata Radę Regencyjną z udziałem komunistów. W międzyczasie wojska sowieckie okupowały Bułgarię.

Wreszcie 14. września wojska sowieckie przekroczyły granicę bułgarsko-grecką. Wiemy z postępowania rządu angielskiego w stosunku do zbuntowanej brygady greckiej w Kairze, z poparcia, jakie m. Eden udzielał zjednoczeniu wszystkich partyj greckich (konferencja libańska) i wielu innych podobnych faktów, że Grecja nie tylko jest czułym miejscem interesów brytyjskich na Morzu Śródziemnym ale — zdawało się — miała leżeć wyłącznie w sferze wpływów brytyjskich.

Tymczasem wojska sowieckie weszły i do Grecji.

Więcej — równocześnie trwa ostra kampania prasy sowieckiej przeciwko Turcji. Na północy Finlandii, która zawarła rozejm przewidujący wycofanie się wojsk niemieckich z tego kraju do 15. września, rozgorzały walki niemiecko-sowieckie. Obie strony oskarżają się wzajemnie o zerwanie warunków rozejmu.

Nie ulega wątpliwości, że postępy anglosaskie na zachodzie i południu, jak również postępy sowieckie na wschodzie w sumie dają militarną likwidację niemieckiej Europy i spychają Niemcy do jakiegoś wewnętrznego obszaru, który, jak narazie, Niemcy zamierzają bronić za wszelką cenę i wcale nie myślą o kapitulacji. Choć z drugiej strony nie brak wystąpień takich jak gen. Dietmara, z których by wynikało, że Niemcy chętnie przyjęłyby warunki pokojowe nie żądające od nich bezwarunkowej kapitulacji. W tym wspólnym likwidowaniu z trzech stron militarnej potęgi niemieckiej, czas trwania niemieckiego oporu zależy w pierwszym rzędzie od tego, ile potencjału ludzkiego zdołały Niemcy zachować do decydujacej rozprawy, która — jak twierdzi ich propaganda — ciągle jeszcze nie nadeszła. Niemcy ściągają wszystkie ostatnie rezerwy, przeprowadzając totalną mobilizację.

Zbombardowana fabryka (1939 r.)

Od Teheranu do Quebec'u

Natomiast nie tylko na przykładzie tragedii Warszawy, ale i we wszystkich przytoczonych wyżej przykładach akcji sowieckiej w państwach bałkańskich można łatwo zauważyć znaczne rozbieżności polityczne pomiędzy Z.S.R.R. a państwami anglo-saskimi. Chociaż wiele organów prasy anglo-saskiej uznaje za wspaniało-

Ludność opuszcza spalone siedziby (1939 r.)

Armia podziemna — Kurier

myślne i zrozumiałe sowieckie warunki dla Rumunii i ich postępowanie w Bułgarii, trudno uważać za uzgodnioną akcję przeprowadzenia okupacji kraju przez jednego ze sprzymierzeńców, a momencie, gdy kraj ten prowadzi pertraktacje pokojowe z innymi dwoma sprzymierzeńcami. Nie mniej znowu niestety na przykładzie Polski, widzimy, że mieli rację ci publicyści, którzy oddawna nazywali konferencję teheranską nowym Monachium. Widać wyraźnie, że w Teheranie uzgodniono podział Europy na sfery wpływów, wśród których sowiecka miałaby sięgać po Łabę i obejmować niemal całe Bałkany. Dotychczasowy przebieg wojny jest logicznym następstwem uchwał wcześniejszej od teherańskiej konferencji Roosevelta i Churchilla w Casablanca, gdzie zdecydowano, że pierwsza runda w tej wojnie jest niemiecka, a druga japońska. Runda niemiecka ma się ku końcowi. Obecnie odbywająca się w Quebec konferencja Roosevelta i Churchilla niezawodnie będzie w znacznej mierze poświęcona drugiej rundzie wojny — rozprawie z Japonią.

Lecz muszą znaleźć rozwiązanie takie kapitalne problemy europejskie, jak dalszy los Niemiec. Mało tego — ostatnie doniesienia prasy anglo-saskiej mówią, że i sprawa Polski będzie jednym z zasadniczych punktów obrad tej konferencji.

Przed Quebec, konferencja w Dunbarton Oaks „ustaliła" zasady bezpieczeństwa przyszłej organizacji świata. Uchwały konferencji są praktycznie narzuceniem dyktatu czterech mocarstw. Na straży bezpieczeństwa świata mają stać siły zbrojne tych czterech potęg. Oznacza to zaprzeczenie zasad Karty Atlantyckiej, dokoła których zgrupowano blok narodów sprzymierzonych. Lecz już nawet doniesienia o konferencji w Dunbarton Oaks mówią o wprowadzeniu w przyszłości Francji, jako piątego mocarstwa o decydującym głosie. I tu właśnie na przykładzie Francji mamy dowód, jak wiele w obecnej fazie wojny a tym bardziej w przyszłości, zależeć będzie od własnej postawy każdego z tzw. mniejszych narodów. Francja potrafiła przez niezależną, samodzielną politykę nie tylko ustrzec się od tak łagodnej (w porównaniu do znanych nam skądinąd) formy interwencji wielkich mocarstw jak Amgot, potrafiła postawić nawet sprawę przyłączenia Nadrenii jako własne zadanie, z którym świat już się zaczyna liczyć.

W 6-tym wrześniu wojny

Na tle gwałtownie rozwijających się wypadków jakie niosą ze sobą pierwsze tygodnie szóstego roku wojny, który zaczął się pod znakiem największych sukcesów militarnych i bezprzykładnej kapitulacji politycznej Anglo-Sasów, dla nas Polaków szczególną wagę nabiera nasza własna postawa. Byłoby szaleństwem ukrywać przed sobą położenie, które grozi zagładą narodu polskiego.

Zestawmy wypadki ostatniego miesiąca:

1) P. Mikołajczykowi postawiła Moskwa żądania zmierzające do poderwania prawnego bytu państwa (zmiana Konstytucji — utworzenie rządu pod obce dyktando).

2) Inkorporowano de facto nasze ziemie wschodnie w skład republik sowieckich.

3) Powtórzyły się tragiczne doświadczenia Lwowa i Wilna. Te same oddziały Armii Krajowej, które pierwsze opanowały te miasta od wewnątrz, zdane na łaskę armii czerwonej, a los tych żołnierzy jest conajmniej niepewny, a raczej coraz więcej mamy pewnych wiadomości o wypadkach fizycznego ich likwidowania.

4) Warszawie Moskwa nie tylko odmówiła pomocy, nie tylko wstrzymała na półtora miesiąca ofenzywę na tym kierunku, ale nawet odmówiła lotnisk dla samolotów, niosących pomoc dla Warszawy z Anglii i Włoch.

5) P. Mikołajczyk wysyła do Moskwy kapitulacyjne memorandum sugerujace m. in. (w/g wersji neutralnych radiostacyj) nawet możliwość zniesienia stanowiska Naczelnego Wodza i wprowadzenia do Rządu Polskiego komunistów. Moskwa skierowuje to memorandum do komitetu zdrajców polskich t.zw. Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a więc uparcie dąży do sprowadzenia rokowań polsko-sowieckich na płaszczyznę rozmów „pomiędzy grupami Polaków".

6) Zostaje zawarta umowa pomiędzy „Komitetem Wyzwolenia Narodowego" a rządami sowieckich republik: ukraińskiej i białoruskiej, która przewiduje wysiedlenie całej ludności polskiej z tych republik (a nasze ziemie wschodnie przez obie układające się strony są uważane za ziemie tychże republik). Umowa ustala nawet takie szczegóły, jak wyposażenie każdego wysiedlonego Polaka w 5 tysięcy rubli i dwie tonny bagażu. Wszystkie przesiedlenia w czasie okupacji sowieckiej 1939-1941 odbyły się bez specjalnej ustawy, na podstawie ogólnych praw obowiązujących w Z.S.R.R., możemy sobie wyobrazić jakiego rodzaju przesiedlenia planuje Moskwa, skoro zawiera dla ich przeprowadzenia specjalną umowę.

7) Moskwa za pośrednictwem jej narzędzia t.zw. „krajowej rady narodowej" ogłosiła, że funkcje Prezydenta R. P. obejmuje niejaki p. „Beirut" (inne depesze podają to nazwisko jako Bierat) — przewodniczący „krajowej rady narodowej" w Lublinie, urzędnik Komiternu w latach 1931-39.

Dla upozorowania tego kroku Moskwa usiłuje w sposób naiwny naciągać postanowienia Konstytucji z 1921 roku. Konstytucja ta przewidywała, że w razie gdy Prezydent R. P. nie spełnia swych funkcyj, zastępuje go marszałek Sejmu. Agenci Moskwy tłumaczą, że Prezydent R. P. nie spełnia swych funkcyj, że oni t.j. „krajowa rada narodowa" są sejmem, że przeto ich przewodniczący jest prezydentem.

Ta, najgrubszymi nićmi szyta robota, nie potrzebuje żadnych komentarzy i powinna już w sposób ostatecny rozwiać wątpliwości co do prawdziwych zamiarów Moskwy, dążącej do zupełnego poderwania prawnego bytu Państwa Polskiego i narzucenia przemocy na ziemiach Polski uległych Kremlowi marionetkowych „władz".

To wszystko wskazuje nawet ślepym na niezmienną politykę Moskwy w stosunku do nas, której krótkim i trafnym określeniem jest zdanie: „Nam w Berlinie i Moskwie pisana jest śmierć". To wszystko wskazuje również na to, że droga ustępstw i kapitulacji na rzecz Moskwy do niczego nie prowadzi.

Warszawa

Lecz mrok gęstniejących dokoła Polski ciemności rozświetla już od 6-ciu tygodni pochodnia największej ofiary, jaką zna ta wojna — gorejącej Warszawy. Warszawa walczy samotnie od 1. sierpnia. Jej obrońcy opanowali w pierwszych dniach znaczne połacie miasta, nie podtrzymani należycie z zewnątrz, choć pogrzebali pod gruzami Starego Miasta znaczną część swych współtowarzyszy, trwają nadal w nierównej walce. Walczą nie tylko żołnierze regularnej Armii Krajowej. Komunikaty gen. Bora podkreślają stale udział kobiet i dzieci w tych bezprzykładnych walkach.

Ofiara Warszawy dała dotąd niezaprzeczalnie jeden atut dla sprawy polskiej: zdemaskowała przed całym światem cyniczną postawę Z.S.R.R.

Ale Warszawa przemawia przede wszystkim nie do obcych, a do Polaków. Jest świadectwem tego, że naród w Kraju jest gotów do podjęcia dalszej walki w najcięższych warunkach, choć oczywiście zryw taki, jak powstanie w Warszawie, nie jest jedyną formą jaką ta walka przybierze. Warszawa żąda, by wszystko w naszym narodzie było na miarę Jej poświęcenia i Jej decyzji.

Żołnierz polski na obczyźnie, bijący się na wszystkich frontach: włoskim, francuskim, walczący w oddziałach francuskiej armii podziemnej, lotnik, marynarz, dają pierwsze miejsce w hierarchii żołnierskich zasług Warszawie. Lecz żołnierze ci walczą sami na najbardziej odpowiedzialnych odcinkach frontu, że chociażby wspomnieć o zadaniu naszej Brygady Pancernej we Francji zamykania pierścienia dokoła otoczonych oddziałów VII armii niemieckiej i przebijania się przez nadbrzeżny najbardziej broniony pas niemieckich umocnień.

I żołnierz ma równie jak Warszawa jasną decyzję, że przypomnieć chociażby jego wyznanie wiary wypowiedziane przez D-cę 2. Korpusu: „Nie pozwolimy na nowy rozbiór Polski, nie pozwolimy na wprowadzenie rządu agentur obcych i ktokolwiek by chciał i nas namawiał, na to zgody nigdy nie uzyska".

Jarosław Żaba

Armia podziemna — Przy posiłku

Przyjazd premiera Churchilla do m. p. D-twa 2 Korpusu

KOBIETY ŚWIATA MILCZĄ

Kobiety polskie wysłały z walczącej od 1. sierpnia Warszawy krótko sformułowaną odezwę do kobiet W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych A.P. Oto treść tej odezwy, pisanej wśród rozpaczliwych walk, wśród łuny płonącego miasta, na gruzach naszej pięknej stolicy:

„Zapytujemy cały świat, dlaczego Warszawa, która prawie cały miesiąc walczy samotnie ,nie otrzymała dotychczas dostatecznej pomocy? Dlaczego Rumunia, która przez 5 lat wysługiwała się Niemcom, po pierwszym odruchu dobrej woli dostała znaczną pomoc od Narodów Zjednoczonych i Bukaresztowi została przydzielona silna osłoną lotnicza? Dlaczego taka sama pomoc nie zostaje udzielona Polskiej Armii Krajowej, która przez 5 lat trwa w oporze przeciw Niemcom?"

Zastanawiające są te słowa kobiet, które nie proszą o żywność, o leki, ani o żaden inny litościwy odruch — tylko o pomoc wojenną dla walczącej Armii Krajowej i ludności. Zwracają się z tym nie do mężów stanu państw sprzymierzonych lecz do kobiet tych państw. Nie apelują też do serc kobiecych, ale do poczucia sprawiedliwości, które może jest jeszcze właściwe kobietom, skoro mężczyźni zabrnęli w... taktykę polityczną.

Nie zdaje się jednak, żeby Polki otrzymały zadawalającą odpowiedź na swoje wezwanie. Przynajmniej dotąd nic o tym nie wiemy. Natomiast na skutek odezwy odbyło się w Londynie w dniu 29. sierpnia pod przewodnictwem Heleny Sikorskiej zebranie przedstawicielek organizacyj kobiecych, poświęcone sprawie pomocy dla Warszawy. Przyjęta przez aklamację rezolucja brzmi:

„Zebranie brytyjsko-polskie kobiet, zgromadzonych w Londynie w dniu 29. sierpnia 1944 r. w celu złożenia hołdu bohaterskim obrońcom Warszawy, uchwala jednomyślnie: 1) Zgromadzenie wyraża najgłębszy podziw bohaterskim obrońcom Warszawy i zapewnia, że żadne wysiłki nie będą szczędzone, by uzyskać dla nich pomoc. 2) Zebranie zwraca się z apelem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie o niezwłoczną pomoc dla ludności Warszawy przez zrzuty lekartsw, środków opatrunkowych dla rannych, szczepionek witamin i skoncentrowanej żywności, o rozpoczęcie niezwłocznę przygotowań na szeroką skalę dla dania pomocy ludności Warszawy jak tylko to będzie możliwe, w szczególności przez organizowanie oddziałów ambulansów ze sprzętem i personelem medycznym oraz przygotowanie pomocy w naturze (ubrania i żywność). Będzie to specjalnie potrzebne wobec zniszczenia większości szpitali warszawskich. 3) Zebranie wyraża swój najostrzejszy protest dla sprawców zbrodni i okrucieństw, które dokonane zostały na ludności Warszawy, a w szczególności na kobietach i dzieciach".

Rezolucja ta, w treści i w formie — filantropijna, wydaje się nam w tej chwili zanadto „kobieca". Nie mówiąc już o tym, że „brytyjsko-polskie" kobiety zebrały się dopiero po czterech tygodniach od wybuchu powstania w Warszawie. Tyle trzeba było czasu dla uczuciowej reakcji tych kobiet, wywołanej zresztą dopiero apelem Polek.

Nie wiemy, czy Czerwony Krzyż w Genewie czekał z udzieleniem pomocy na rezolucję londyńskiego zebrania kobiet. Należy raczej przypuszczać, że nie. Rezolucja posłużyła więc tylko do uspokojenia sumień tych kobiet i przyczyniła się do rozgłoszenia w świecie ich współczucia dla „nieszczęśliwej Warszawy".

Współczucie należy się słabym. Walczące w Warszawie kobiety nie są słabe. Nie domagają się więc współczucia, nie trzeba im kadzideł hołdu, ani komplementów na temat ich bohaterstwa. Żądały realnej pomocy wojennej w słowach twardych i pełnych oburzenia. Rezolucja kobiet w Londynie krótko zbywa treść apelu Polek, zapewniając, „że nic nie będzie szczędzone by uzyskać dla nich pomoc".

Chcemy wierzyć, że w tych zaszyfrowanych słowach mieści się jakiś konkretny plan działania. Nie mamy jednak podstaw do tej wiary. W ciągu pięciu lat wojny kobiety demokratycznego świata, uczestnicząc pracą fizyczną i biurową w tej wojnie, nie odegrały w niej innej roli, prócz pomocniczej. Nie wypowiadały się kobiety świata w kwestjach, które powinny obchodzić nie tylko rządzących i wojujących mężczyzn, ale całą ludzkość, zatem i ko-

Jedna z obrończyń Warszawy (1939 r.)

Kierowczynie na mustrze

Piszę o naszej Kompanii „N-tej": Zorganizowana jest ona ściśle na wzór angielskich kompanii transportowych RASC (ROYAL ARMY SUPPLIES CORP) i jedynie różni się od nich tym, że w 95 % składa się z ochotniczek. Mam wrażenie, że bardzo to zaszczytna dla nas różnica. Dowództwo, wszystkie stopnie oficerskie, cała administracja i gospodarka w Kompanii jest w rękach ochotniczek P.S.K. Jedynie Pluton Warsztatowy, który czuwa nad technicznym stanem naszych wozów jest — męski.

A teraz kilka danych, które mówią same za siebie:

1) Od 1.VII.1943 r. tj. od daty powstania Kompanii — otrzymałyśmy 145 wozów (Palestyna, Egipt). Aż do kwietnia 1944 r. tj. aż do chwili oddania ich spowrotem Anglikom, (w oczekiwaniu na wyjazd do Włoch), Kompania dysponowała równą liczbą 145 wozów. Ani jeden wóz nie ubył z pracy. Co więcej, otrzymane wozy, które ze względu na zaniedbanie, zużycie, brak wielu części i ogólny bardzo niski stan techniczny zakwalifikowane zostały jako wozy V kategorii, pod koniec zeszłego roku, dzięki umiejętnej, właściwej konserwacji, fachowej opiece ochotniczek i Plut. Warszt. — uznane zostały za wozy I kategorii, wozy pierwszej linii.

2) Od sierpnia 1943 r. do sierpnia 1944 r. — wozy nasze przebyły 1 milion 768 tys. 978 mil, przy jednoczesnym zużyciu 164 tys. 583 galonów benzyny.

3) Ilość wykonanych dyspozycyj od sierpnia 1943 r. do lipca 1944 r. — 20 tys. 131.

Były oczywiście i wypadki. Są one nieuniknione. Ale —

1) zamykają się liczbą 34 od sierpnia 1943 do września 1944 r.;

2) jedynie 8 z ogólnej liczby zakwalifikowano jako ciężkie, reszta (26) to lekkie uszkodzenia wozu;

3) w znakomitej większości wypadki nie były spowodowane z winy kierowczyni.

W maju b.r., w ślad za wojskiem, opuszczałyśmy Middle East i przyjechałyśmy do Włoch. Charakter naszej pracy zmienił się całkowicie. Ładowałyśmy dniem i nocą wielkie barki angielskie z amunicją lub benzyną — w chwili, gdy nasi chłopcy szli na Anconę; opróżniałyśmy setki wagonów na ostatniej stacji kolojowej i pędziłyśmy z cennym ładunkiem, aby zdążyć na czas z żywnością do Składnicy, w której spotykałyśmy wozy przybyłe z linii frontu. Pracowałyśmy stale między trzecią a drugą linią zaopatrzenia, a ostatnio i na drugiej linii. Przewoziłyśmy całymi kolumnami broń, amunicję, wszelkiego rodzaju pociski, dostarczałyśmy benzynę i materiały pędne, w przeświadczeniu, że w najbliższych dniach zasilą one silniki naszych czołgów, ciągników i carriersów w ich zwycięskim marszu na Niemców.

Czy byłyśmy zmęczone? Oczywiście. Ale zadowolenie i radość z pracy rekompensowały wszystko.

Gdy w drodze powrotnej „na tyły" przewoziłyśmy jeńców niemieckich, wziętych na polskim odcinku frontu, uwierzyłyśmy w Sprawiedliwość dziejową. Nie przestajemy też ani na moment wierzyć w jasną przyszłość...

J. B. S.

KIEROWCZYNI MÓWI

Mniej więcej rok temu krzyk się podniósł wśród moich przyjaciół: „Co? Jak? Chcesz zostać kierowczynią? Ależ zastanów się dziewczyno, co ty zrobisz w kompanii transportowej? Nie dasz rady fizycznie a przede wszystkim nerwowo. Na upór, wiadomo, nie ma lekarstwa, zobaczysz jednak, że wrócisz do nas z płaczem".

Minęły miesiące, a ja nie tylko nie zdradziłam najmniejszej chęci wypłakiwania się na przyjaciół łonie, a przeciwnie — coraz lepiej się czułam, coraz bardziej śmiały mi się oczy. Przyjacioły orzekły zgodnie: „Dziewczyno, ty odmłodniałaś!" I znów posypały się pytania, co, jak i dlaczego?

Przyznaję, że początkowo było mi bardzo trudno odpowiedzieć nawet sobie samej na rozmaite: dlaczego?

Długie i trudne dni w Kompanii Transportowej, rozmowy z koleżankami i komendantkami, wspólne konserwacje, służby, wyjazdy, warty — niejedno mi wyjaśniły i na niejedno pytanie dały mi wytłumaczenie. Oczywiście takie, na jakie nas dzisiaj stać, bowiem przekonana jestem, że niejedna przemiana, jaka dokonała się w naszej kobiecej psychice tu, w transporcie, niejeden wysiłek (dawniej nie uwierzyłybyśmy, że jesteśmy do niego zdolne) będą dla nas wytłumaczalne przez perspektywę lat, w świetle normalnego rodzinnego życia kobiety.

Rozmaite już były z nami wywiady, różne o nas artykuły a w nich pochwały, krytyka słuszna i niesłuszna, czasami aż nazbyt niesprawiedliwa i bolesna. Nie było jednak niczego, w czym znalazłybyśmy prawdę o sobie. Ci, co pisali, mówili i krytykowali byli równie, jak ja początkowo, niezorientowani w naszym życiu, w troskach i radościach. Chciałabym więc (po długich naradach z koleżankami i korygowaniu) dać obraz naszego życia z obiektywizmem największym, na jaki **możemy się** zdobyć.

Przy kierownicy

Przede wszystkim nasza praca. Dzieli się ona na trzy działy: prowadzenie samochodu, jego konserwacja i służba ściśle wojskowa w kompanii.

Zacznę od prowadzenia samochodu. Sama teoria nie jest specjalnie trudna, jest natomiast bardzo ciekawa. Pamiętam na kursie dziwną chwilę, kiedy pojęłyśmy precyzję mechanizmu maszyny, jej podobieństwo w pewnym sensie do organizmu ludzkiego. Przeżyłyśmy zrozumienie, że „maszyna żyje". Wobec istnienia od tylu lat samochodu może się komuś wydać dziwnym to „odkrycie", należy jednak pamiętać, że większość z nas to dziewczęta młode, które wiedzę i zdobycze nauki przyjmują ze zbożnym zachwytem.

Prowadzenia maszyny każdy może się nauczyć, naprawdę, trzeba tylko nauczyć się inaczej patrzeć w przestrzeń, inaczej widzieć i oceniać czas. Była to początkowo nasza największa trudność. Zmiany biegów, utrzymanie kierownicy — **ależ to** dziecinnie łatwe i proste. Natomiast, kiedy ruszyłyśmy pierwszy raz z „wielką szybkością... 5 mil na godzinę", miałyśmy uczucie pędu nie do powstrzymania i wydawało nam się, że przestrzeń, każdy słup, człowiek idący gdzieś daleko na horyzoncie, samochód jadący w przeciwnym kierunku wali nam się poprostu na głowę, leci pod wóz z taką szybkością, że nie ma już czasu wstrzymać maszyny, wyjść poza pęd, który nas owładnął i w którym lecimy zawrotnie bez ratunku.

Zwolna nauczyłyśmy się inaczej patrzeć w przestrzeń, oceniać czas i odnajdywać siebie w ruchu tak, by myśleć, co i jak czynić należy. Piszę: zwolna — chociaż to trwało zaledwie parę dni, bo odbywało się to wolniej niż u mężczyzn i z mniejszą zuchwałością, z jaką mężczyzni zwykli rzucać się w wir żywiołów.

To były trudności w samej nauce jazdy. Ale obok tego — ile radości. Każdy, kto prowadzi wóz, wie jaka to wielka przyjemność. Jest w tym coś z hazardu, coś z wielkiej przygody, za którą podświadomie tęskniłyśmy od dzieciństwa, od pierwszych przeczytanych podróżniczych książek. Jest w pędzie jakaś błogosławiona moc uspokojenia i wyładowania.

A konserwacja? Cudownym dla nas odkryciem było, jak już pisałam, to, że „maszyna żyje". W zrozumieniu potrzeb maszyny, by funkcjonowała dobrze, by jej nie zabrakło oleju, benzyny — było początkowo trochę kobiecej przesady. Minęła ona, tym niemniej ważność konserwacji tkwi w kierowczyni bardzo głęboko. Wpływa na to szereg przyczyn. Przede wszystkim: maszyna stała się dla nas „żyjącym", niezawodnym przyjacielem, o którego trzeba dbać. Ma ona swoje wymagania, ba, głośno umie ganić i okazać swoje niezadowolenie, a czasem obrazi się aż tak, że zaniemówi i wtedy wiele trzeba pracy i trudu, żeby ją przebłagać. Wie to każdy, kto już nauczył się rozumieć mowę silnika w jego warkocie. Było coś miękkiego, swoiście kobiecego w tym dbaniu o maszynę. W nie mniejszym stopniu grała tu rolę ambicja tak wielka, że graniczyła z zaciętością, z głuchym uporem. Kierowczynie przełamać musiały niedowiarstwo, jakim je początkowo obdarzano, kpiny i złośliwość kolegów kierowców. Głośno i oficjalnie mówiono, że transportowa służba kobieca to eksperyment. Wiadomo, że młode, zapalone, ambitne dziewczyny nie lubią, by robiono z nich „królika doświadczalnego". Znany jest fakt, że pracować zaczęły na wozach najgorszej bo 5-tej kategorii: trochę naprawione stare klekoty, na nic już niezdatne w rzetelnej pracy, akurat takie, by je do reszty popsuły młode kierowczynie. Przyjęły te wozy jak biedne zaniedbane kaleki, które trzeba chronić przed pośmiewiskiem ludzkim. Niepotrzebne? To zobaczycie! Zawzięły się z nieugiętością, właściwą jedynie kobietom, pracującym na nieurodzajnej roli. Bo było w tym uporze coś z zawziętości i walki z żywiołami, coś z chłopki śląskiej czy beskidzkiej. Zabrały się do pracy. I o dziwo! Ta sama komisja, która zakwalifikowała wozy do 5-tej kategorii, w kilka miesięcy przywróciła jej zaszczytną 2-gą kategorię.

Wreszcie trzeci motyw. Od samego początku naszej pracy doskonale rozumiałyśmy, że jesteśmy słabsze i często bezradne tam, gdzie mężczyzna da sobie z łatwością radę. Stąd wniosek, że chcąc pracować równie dobrze jak oni, musiałyśmy znaleźć odpowiednie dla siebie wyjście. Mężczyzna może zaryzykować naprawę w drodze, wyjeżdżając na „niepewnym" wozie, my nie. Chociaż niejednokrotnie wiemy, jak się zabrać do usunięcia uszkodzenia, nie mamy ku temu sił fizycznych. I wcale nie czujemy się dobrze, stając z zepsutym wozem nocą, czy nawet wśród dnia, same w pustyni. Wolimy więc tak o niego dbać, by prawdopodobieństwo uszkodzeń i przymusowego postoju było jak najmniejsze. Ot, takie czysto kobiece proste wyjście.

Transportowa maszeruje

Trzeci dział naszej pracy to wyszkolenie żołnierskie, służba w kompanii. Jasne, i nie trzeba nawet o tym pisać, że gorliwość nasza i ambicja wypływają z ogromnego pragnienia jaknajwiększej użyteczności w wojsku, jak najdalej idącej pracy zastępczej na każdym osiągalnym odcinku. Udał się jeden eksperyment, uda, musi się udać i drugi: Kompania Transportowa kobiet może być i pod względem bojowym wyszkolona na równi z mężczyznami. „Trzecia linia" — tak, oczywiście, „poza frontem" — rozumiemy to doskonale i nie chcemy nawet więcej. Czy na trzeciej linii nie można znaleźć zabłąkanej miny albo pułapki? Czy samoloty znają tylko 1-szą linię? Czy spadochroniarze i desant nie lądują aż nazbyt często na tyłach? Zaczęły się więc kursy wyszkolenia bojowego i strzelnice. I tu, jak poprzednio, oswojenie się z bronią było wolniejsze niż u mężczyzn, tym nie mniej instruktorzy zgodnie orzekli, że wyniki pracy są lepsze niż dobre.

Te trzy działy naszej pracy składają się na aż po brzegi wypełniony dzień: dyspozycja, konserwacja, warta, służba i znowu dyspozycja zbiórka, strzelanie i tak ciągle znojnie upływają nam dni.

Jesteśmy bardzo często przemęczone jazdą, zdenerwowane czy zmartwione, witamy nową służbę czy wartę nie zupełnie parlamentarnym językiem. To prawda. Ale następnego dnia siadamy na wóz i topimy w pędzie, w żywiole nasze zmartwienie i zdenerwowanie. Wracamy zmęczone ale uspokojone. Stara to prawda, że dzień pełen pracy a nadto zżycie się z naturą, z żywiołem, wszystko to wytwarza swoiste zadowolenie i pogodę. A młode i nie zepsute wygodami dziewczęta z transportu demonstrują radość życia uśmiechem, śpiewem i gwarną, beztroską często wesołością. A obok tego upór, zaciętość w pracy aż tak silna, że prawie nie licują z tymi roześmianymi buziami. Rodzi się to z prostej a żarliwej miłości Ojczyzny, wojska i tego wybranego, który walczy gdzieś tam w Korpusie. Rozumiemy, że tylko wytężona praca doprowadzić nas może do tych trzech najbardziej ukochanych wartości. Jedynie dobro rodzić się może z wielkiej, po brzegi serc wypełnionej miłości. W ten sposób rozumiemy odpowiedź na dwa najważniejsze dlaczego: dlaczego pogodne jesteśmy i wesołe? dlaczego mamy dobre wyniki w pracy?

Pozostaje jeszcze odpowiedź na parę pytań, które zastanawiają patrzących na życie kompanii.

Koleżeństwo wśród nas jest większe i prostsze niż gdzie indziej. Miła współpraca z kolegami z Plutonu Warsztatowego pochodzi z wzajemnego poszanowania pracy: oni cenią naszą dbałość o maszyny, my ich gotowość dania nam pomocy i dobrej rady

Małe naprawy robi się we własnym zakresie

Transportowa na strzelnicy

w każdym trudniejszym wypadku. Koleżeństwo wśród nas samych tkwi nie w słowach a w postępowaniu. Lubimy się, ale potrafimy się dobrze pokłócić, mamy rozmaite poglądy i upodobania. Ale... wracasz z warty, czeka na ciebie kolacja, przyjechał narzeczony — inna z własnej inicjatywy zastąpi cię w służbie. Długo nie wracasz z dyspozycji — znajdziesz uprasowaną bluzkę czy spódnicę, bo akurat było żelazko w namiocie. Każda z nas była już tak zmęczona i tak dokładnie drgał jej każdy mięsień, że doskonale rozumie, co znaczy zmęczenie drugiej i ocenić umie najdrobniejszą przysługę. Nie przyszło to łatwo i nie było wcale tak od początku, ale w okresie, kiedy ja weszłam do transportu, zdziwiła mnie ta prosta ludzka uczynność i dobroć.

Na początku tego „eksperymentu", jakim było utworzenie kobiecych kompanij transportowych, istniało przekonanie, że tego rodzaju praca i tryb życia przekształci nas w jakieś karykaturalne i zuchwałe chłopczyce. Największe zdziwienie i pierwsze „dlaczego" posypały się, kiedy okazało się, że kierowczyni ma starannie uczesaną głowę, estetyczny wygląd, zawsze czysty mundur i zalotnie nałożony beret.

Praca w transporcie — wiecznie w drodze, często na i pod wozem — idzie w parze z wyrzeczeniem się tych nieuchwytnych, swoiście kobiecych właściwości, które są i słabością i siłą równocześnie, głupstewkiem i pięknem. Zdaje mi się, że ta dbałość o wygląd, mimo dużego zmęczenia, wynika z szukania choćby częściowej rekompensaty za codzienne małe ale liczne wyrzeczenia kobiece na rzecz służby. Potwierdzenie tego daje wygląd naszych namiotów. Jest w nich iście żołnierski ład, obok kobiecej pedantycznej czystości, połączonej z potrzebą upiększenia serwetką, kwiatem, czy ładną poduszką. Kierowozynie są często tak zmęczone po dyspozycjach, jazdach i konserwacjach, że odprężenia, domowego nastroju, spokoju nie szukają w Y.W.C.A., Y.M.C.A., a we własnym namiocie, który siłą rzeczy, odpowiednią otaczają opieką.

Zadziwiającym był dla niektórych fakt, że, mimo fizycznego zmęczenia kierowczyń, świetlica tu jest pełniejsza, niż w innych kompaniach, ruch wypożyczonych książek większy, impreza łatwiejsza do przeprowadzenia. Spróbuję odpowiedzieć. Ciągły ruch, w jakim jesteśmy, stwarza sam przez się większą wrażliwość umysłową: codziennie przesuwający się krajobraz, ludzie, sytuacje stawiają coraz nowe pytania i problemy, na które szuka się odpowiedzi. Dziewczęta z małym albo nie wykończonym wykształceniem szkolnym, zawdzięczając kursowi, zbliżyły się, po okresie zastoju umysłowego w Z.S.R.R., do nauki. Dzięki niej przeżyły piękną chwilę zrozumienia „życia maszyny" i teraz odważnie, już z wypróbowaną pracowitością chcą doznawać coraz to nowych objawień nauki. Z bezpośredniością i prostotą dają wyraz wielkiego szacunku dla wiedzy i dla ludzi, którzy więcej umieją i czegoś mogą nauczyć. Taką właśnie wdzięczność za poradę, za naukę, taką gorliwość i zachłanność dalszego kształcenia się mieli w Polsce przed wojną dorośli i młodzież na kursach wieczorowych, w pracy oświaty pozaszkolnej. W grę wchodzi jeszcze ambicja, która pokonała niejedną trudność przy tworzeniu transportowej służby kobiecej w okresie jej kiełkowania. Ta zdrowa ambicja pcha coraz dalej i dalej i prowadzi także do chęci wyrównania poziomu wiedzy i wykształcenia w stosunku do ukochanego człowieka, starszej siostry lub koleżanki.

Pytano mnie jeszcze, w czym tkwi tajemnica uprzejmości u większości kierowczyń?

Kierowczynie są skromne skromnością, którą wytwarza prawdziwy wysiłek i dobre rezultaty służby. Same aż nadto ciężko pracują, by nie mieć szacunku dla wszystkich pracujących koleżanek i podziwu dla trudów wojska. Stąd rodzi się uprzejmość, miły uśmiech i dobroć, która stała się prawem ogólnym kompanii transportowej.

Wreszcie ostatnie pytanie. Byłam kiedyś świadkiem rozmowy reportera z kierowczyniami na temat: „Czy podoba się pani nowy zawód?" — „Owszem" — odpowiadało parę dziewcząt kolejno o to pytane. To „owszem" wcale nie brzmiało entuzjastycznie ku zdziwieniu pytającego, no, a pełen był zdumienia, kiedy na pytanie: „Czy w Polsce dalej pani będzie kierowczynią?" — każda bez wahania szybko odpowiedziała: „Nie". Daczego — nie mógł zrozumieć. Ależ to zupełnie proste. Przy całym swoim stosunku do pracy i swoim pogodnym usposobieniu kierowczyni nagina z trudem swą kobiecą naturę do pracy transportowej, tęskni za własnym domem i im więcej w ruchu, tym gorętsze pragnienie spokoju. Teraz — to tak, bo wojna, bo powrót do Polski, bo praca na równi z mężczyznami, oko w oko z niebezpieczeństwem. Ale niechno wojna się skończy, będziemy kobietami z miłością budującymi własny dom. O takiej rekompensacie tych lat, nieraz wstydząc się przyznać, myśli każda z nas. Piszę to w celu uspokojenia mężczyzn, bowiem przedwcześnie za bardzo się boją o swoją pozycję w domu, który stworzyć ma tak dziwnie usamodzielniona kobieta — żołnierz. My tęsknimy za miękkością, za tkliwością, za bezpiecznym przyjacielem, na którym można polegać. Tęsknimy za spokojem, za domem i z tą samą co obecnie żarliwością i uporem weźmiemy się do odbudowania naszych gniazd rodzinnych, naszego domowego zacisza.

A samochody? Nie wiem. Chyba... chyba, że Kraj będzie potrzebował takiej a nie innej od nas służby.

(„Ochotniczka na Sr. Wschodzie", sierpień 1944 r. — Nr 2.)

Koleżeństwo w naszej kompanii

Wśród różnych zasadniczych pasjonujących nas zagadnień, które rostrząsałyśmy na łamach naszego czasopisma nie brakło również i tego, o którym chcę dziś napisać. Mimo wszystko bowiem, dopóki istnieje forma życia w pewnym zorganizowanym zespole — temat ten będzie nas zawsze interesował, choćby ze względu na różnorodność zabarwienia, bogatą skalę odcieni, na swoją wieczną aktualność i wreszcie ze względu na swój ciężar gatunkowy dla ludzi, nie mających Ojczyzny, a tylko swoje m.p., oznaczone cyfrą.

Wrosłyśmy w naszą rzeczywistość, zżyłyśmy się z jej nakazami — zrozumiałyśmy swoją w niej rolę i zadania. Mało tego, bo nawet na „światowej scenie" przestałyśmy być statystami i w tej wielkiej grze dobra ze złem, prawa z bezprawiem, prawdy z podłością tworzymy wartości, które przejdą w nasze jutro. I myliłby się kto by sądził, że przy tych wszystkich ważnych sprawach i procesach słowo „koleżeństwo" jest może trochę naiwne, takie trochę z dawnych pensjonarskich czasów. Smiem zaryzykować inne twierdzenie: koleżeństwo jest podstawą naszej zwartości, naszej wytrzymałości psychicznej i fizycznej — tej naszej dziwnej siły wewnętrznej, która od pięciu lat pozwala nam się utrzymać na powierzchni.

Przez cały okres mojej 3 letniej służby w P.S.K. nie zrozumiałam tej prawdy tak jasno i głęboko, jak właśnie dziś. Dziś — gdy już od 5 miesięcy noszę czarny beret i dzielę dobre i złe losy naszych dzielnych kierowczyń.

Wielu rzeczom przypatrzyłam się z bliska. Długo i pilnie robione obserwacje zamknęły się we wnioskach, którymi chcę się z Wami, Koleżanki, podzielić.

O pracy Kompanii i o jej wysiłkach — o setkach ton przewożonej amunicji i żywności — o stronie technicznej oddziału pisali już inni. Zresztą uznali to i ocenili nasi fachowi przełożeni. Mnie uderzyło inne zjawisko, które bezwzględnie należy do blasków wewnętrznego życia Kompanii. Jest nim jedność i spoistość. Jest nim ten dostrzegalny na każdym kroku, zharmonizowany rytm wysiłku, żeby było jak najlepiej. Jest wzajemne zrozumienie i szacunek nie tylko dla tej pracy, która się u nas nazywa służbą w transporcie. Najwspanialsze jego objawy widzi się jeszcze wyraźniej wtedy, gdy dziewczęta, po długiej męczącej trasie, zrzucają z siebie brudne kombinezony i przeżywając ostatnie emocje zakurzonych i zawalonych szaleńczym, wojennym ruchem szos, wchodzą na chwilę w swój własny, prywatny światek. I tu nie ma rozbieżności. Jest ten cudowny klimat, który składa się z jakichś wspólnych i pokrewnych sobie czynników.

List z Kraju od najbliższych jest wspólną radością. Przykrości służbowe, czy choroba jest wspólną troską. Przykra, czy bolesna wiadomość, lub koperta z notatką cenzora „poległ na polu chwały" — w wielu sercach znajduje współczucie.

Jest jeszcze jeden ważny moment, który zabarwia specyficznie zagadnienie koleżeństwa wśród nas. Jest nim — samochód. Samochód nie jako coś odrębnego, nie jako techniczny produkt tej czy innej marki. Samochód — jako wspólny warsztat pracy, jako broń dostępna nam, kobietom, którą my właśnie wojujemy, jako objekt, który ześrodkowuje większość naszych zainteresowań i ambicji w dniu dzisiejszym.

Praca przy kierownicy wymaga jednakowej sprawności i kwalifikacji od każdej. Jednakowo męczy i wyczerpuje, dostarcza jednakowych przeżyć i wrażeń. To samo czuje i przeżywa przy kierownicy kierowczyni — ochotniczka, sekcyjna czy komendantka plutonu. Każdą, po mozolnym, ciężkim dniu, tak samo bolą ręce i plecy, na każdą podczas długich przemarszów kolumn czekają te same niespodzianki. Bo motor tak samo gra dla wszystkich i bez względu na paski i gwiazdki może zgrzytać i zacinać się lub grać prawidłowo.

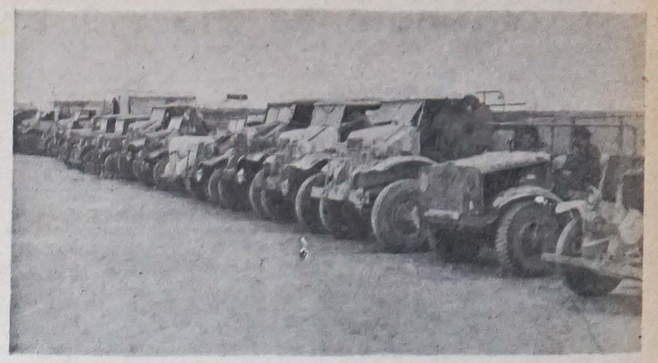

„Kochane wozy"

I tu tkwi sedno rzeczy — tu jest właśnie ten nowy dla nas przywilej, o którym tak często mówili do niedawna kawalerzyści, pancerniacy i lotnicy. My kobiety już dziś też możemy mówić o „braterstwie broni". Ty i ja z transportu — porozumiemy się bardzo szybko. A jeżeli nawet nie porozumiemy się w życiu, to prawie zawsze w pracy. Żadna z kierowczyń nie przejedzie obojętnie obok koleżanki leżącej na szosie pod wozem i mozolącej się nad usunięciem jakiegoś defektu w mechanizmie. Każda uważa za swój święty obowiązek służenia w takim wypadku całą swoją wiedzą techniczną i całym arsenałem różnych kluczy i zapasowych części. A wszystko w myśl zasady: „dziś ja tobie, a jutro ty mnie", byle tylko główny cel był osiągnięty. Byle dowieźć, wyładować i wrócić. Umieją też być solidarne. Interesów swoich bronią wspólnie — uznaniem cieszą się wspólnie, zarzuty wspólnie odpierają. I to są te wszystkie dobre strony.

O odwrotnej stronie zagadnienia nie napisałam jeszcze ani słowa, ale z radością, po długim zastanowiemu się, muszę przyznać, że tych cieni jest właściwie mało, że jakoś gubią się i nikną w tej masie dobrego dorobku, że prawie zawsze, dzięki rozsądnemu i serdecznemu podejściu przełożonych, zostają na tej czy innej płaszczyźnie rozwiązane i jeżeli nawet są powodem pewnych rozgoryczeń i rozdźwięków, to w każdym razie trwa to krótko i przebrzmiewa bez echa. Bo co tu dużo mówić — nasze Zosie, Marysie i Staszki to przecież dobre i szczere dziewczęta i jeśli nawet którąś z nich spotka jakieś pominięcie czy przykrość, to już po krótkiej burzy czekają na okazje, ażeby zaraz paść sobie w objęcia i wzajemnie zapewniać się, że przecież żadna z nich źle nie myślała...

Jesteśmy dużym kobiecym zespołem i trudno nam się pozbyć różnych odwiecznych kobiecych wad. Nie docierają one jednak do zasadniczych spraw. Drobne złośliwości, zawiści, różne mniej lub więcej uzasadnione ambicje, jakieś tam urojone pretensje — wszystko to nie może ujemnie wpłynąć na ogólną atmosferę przyjaźni i koleżeństwa. Zresztą i w tej dziedzinie robimy postępy i z tego też chyba potrafimy wyrość.

Dziś wszystkie przed sobą mamy jeden wielki cel i wielka niewiadoma jutra jednakowo nas gnębi i martwi. Wierzymy, że naszą pracą przyczyniamy się do jej rozwiązania.

Nina Nitecka

CODZIENNA PRACA

...Mało kto wie, jaka jest droga do tego, żeby istotnie być czymś na świecie i żeby nie tracić tego zasobu wrodzonego szczęścia, z którym wbiegamy w życie, mając dwadzieścia lat. Mało kto wie, ale dochodzi się jednak przez niepokoje, wzloty i upadki życia do jakiego takiego wyobrażenia tej drogi, do wyobrażenia, które jest gminne i staromodne, pospolite, jak woda w strudze i takie samo piękne, a mówi, że nie ma innego zaklęcia na szczęście, jak tylko umieć i lubieć pracować.

Nie bójcie się. Kto jest naprawdę zdolny do tego, żeby przeżywać, czy stwarzać rzeczy wielkie i niepospolite, ten je na pewno w swoim życiu wywoła: codzienna praca mu nie przeszkodzi. A kto nie jest do wielkich przygód zdolny, ten ich tęsknotą i lekceważeniem nie przywoła. Zaś nadzwyczajną przygodą, którą każdy przeżywać może, jest nasze codzienne życie, rytmem, chrzęstem, hukiem, zgiełkiem i ciszą pracy wypełnione. Poświęćmy mu więcej uczuć, więcej entuzjazmu.

Powszednia praca może nie być nudna, jej szarość ma w sobie wszystkie kolory życia, tylko trzeba je oświetlić własnym, pałającym sercem. To my jesteśmy szarzy, nudni, obojętni—wtedy, gdy wydajemy się sobie niepospolitymi. Być niepospolitym i zajmującym we własnej wyobraźni — to łatwo. Lecz być niepospolitym w codziennym zwyczajnym życiu i wszystko przepoić nowością — oto mi zadanie...

Ale żadna praca nie jest nikomu potrzebna, jeżeli to nie jest praca twórcza. Nie dosyć jest pracę przedsięwziętą wykonywać na tym poziomie, na którym ją do wykonania otrzymaliśmy. Trzeba ją podprowadzić do innego, trudniejszego zadania. Trzeba wynajdywać sposoby, iżby się nam robota stawała w rękach coraz łatwiejsza, byśmy ją wkrótce powierzyć mogli innym, mniej wprawnym rękom — a sami zaraz szli dalej. Nie dosyć, żeby nam nasze dzieło w rękach zieleniało. Trzeba, żeby nam rosło, kwitło, pęczniało owocami, schło w ziarno, ginęło w ziemi i znowu dla innych wschodziło...

Idźmy w kierunku przeciwnym niż dotąd. Zamiast wprowadzać nudę i bezmyślną jednostajność nawet do roboty twórczej, co tak dobrze potrafimy, doszukujmy się nawet w najbardziej automatycznej robocie możliwości twórczych. W każdej robocie naszej jest takie miejsce, jest taka czarująca chwila, gdy opanowowszy doskonale jedną czynność, stajemy nagle, jak olśnieni, wobec czynności nowej, otwierającej szersze horyzonty i możemy wydać okrzyk triumfu, jak dziki wobec swoich odkryć. Tego dzikiego, poszukującego człowieka musimy w sobie wzbudzić wobec naszej pracy, obok człowieka cywilizacji, jeżeli istotnie chcemy wierzyć, że z wszystkich naszych wysiłków, byle były rzetelne, tworzy się kulturę świata...

Maria Dąbrowska

Koleżeńska pomoc

Komendantka zła i dobra

Czytając naszą „Ochotniczkę", zastanawiam się nad tym, dlaczego żadna z nas nie poruszyła dotychczas sprawy, obchodzącej nas wszystkie — a to sprawy stosunku komendantki do ochotniczki i odwrotnie.

Zdobywam się na odwagę i daję dziś początek — zachęcając jednocześnie Koleżanki do wypowiedzenia się na ten temat.

Zdaję sobie sprawę, że temat jest niewdzięczny, ale napiszę szczerze.

Moim zdaniem stosunek komendantek do ochotniczek nie zawsze jest taki, jakiego pragnęłybyśmy. I dlatego też nie zawsze daje dobre wyniki współpracy. Przede wszystkim dystans jest zbyt wielki i nie łączy nas nic z komendantką poza służbą. Ale i w służbie zdarzają się często dysonanse, nie koniecznie przez nas wywołane i stąd wzajemne żale.

Wiemy o tym, że w wojsku jest hierarchia, że w wojsku jest dyscyplina i stosujemy się do tego chętnie. Odróżniamy jednak dyscyplinę od rekruckiego podejścia do nas. W 6-tym roku wojny, kiedy wszyscy jesteśmy już bardzo zmęczeni, chciałybyśmy bardzo, żeby nasze komendantki uwzględniły ten stan rzeczy i nie zaciskały zbyt mocno systemu dyscypliny. Bo, czy to takie ważne, aby aż psuć nam kilka wolnych chwil po zajęciach kwestią, czy łóżko jest w kostkę, czy rękawy są zawinięte czy obcięte, czy uczesanie w loki czy gładkie, czy światło w namiocie zgaszone o 9-tej czy o pół godziny później? Te drobne sprawy bywają często problemami ważniejszymi, aniżeli rzeczy istotne. Rozdrażniają, zabierają niepotrzebnie czas i energię. Oczywiście łatwo było stosować się do wszystkich drobiazgowych zarządzeń wtedy, gdy byłyśmy w okresie przeszkalania, albo na tyłach. Ale teraz mamy bardzo dużo pracy, z której jesteśmy dumne, która nas całkowicie absorbuje. Mamy też swoje ciężkie zmartwienia — bo ktoś jest teraz w Kraju, ktoś poległ, ktoś jest ranny. I... nie obraźmy się — ale przecież mimo że jesteśmy już tak długo w wojsku, pozostałyśmy kobietami, (i chcemy nimi pozostać!) — nie można więc stosować do nas zbyt rygorystycznego podejścia. Nie dyscyplina nas męczy — ale właśnie ta drobiazgowość, która jest nie na czasie.

Są ochotniczki, które mają wszelkie kwalifikacje fachowe na to, aby być dobrymi komendantkami. Można też w pełni zastosować do nich to krótkie, ale tyle mówiące określenie: „porządny człowiek". Zdarza się jednak, że z chwilą — jak się popularnie mówi u nas — dostania gwiazdki, awans uderza jej do głowy jak woda sodowa. — N.p. o jednej komendantce opowiadały mi koleżanki, które od dłuższego czasu z nią współpracowały, że była miła, popularna, koleżeńska i ogólnie lubiana — do czasu otrzymania gwiazdki. Dziwna rzecz — prawie jednogłośnie stwierdzają, że to nie jest ta sama osoba. Stała się nieprzystępna, dumna i „więcej papieska aniżeli Papież". Żyje, myśli, działa tylko... według regulaminu. Takich jest niestety wiele, za wiele.

Sprawiedliwie przyznać trzeba, że są też i inne komendantki, które, przestrzegając wszelkich przepisów, są równocześnie matkami, przyjaciółkami i opiekunkami ochotniczek, a w ciężkich chwilach starają się zawsze w sposób serdeczny przyjść z pomocą. Toteż u nich w oddziałach nie ma mowy o niezdyscyplinowaniu. Każda ochotniczka nie tylko wypełnia swój obowiązek, ale postępowaniem swoim chce sprawić radość komendantce. Rzecz jasna, że na każdej placówce takie komendantki otoczone są szacunkiem i przywiązaniem, a piękne rezultaty wynagradzają ich trud i włożoną pracę. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo wychowawczy i społeczny jest wpływ takich komendantek. Jak bardzo jej ochotniczki przywiązują się do swojej pracy i do P.S.K.

Są u nas przeważnie młode dziewczęta, bez domów, bez matek. Szukają one u komendantki ciepła i oparcia, chcą w niej widzieć opiekunkę, na której mogą polegać i przy której czują się bezpieczne. Komendantka nie powinna być słaba, ani zbyt miękka, tylko stanowcza, sprawiedliwa, taktowna, rozumna i dobra. Nie chcemy się b a ć komendantek, chcemy je s ł u c h a ć i s z a n o w a ć.

Uznajemy to, że praca komendantki jest nie łatwa i odpowiedzialna, bo i my jesteśmy niejednokrotnie trudne.

Lecz możemy sobie wyobrazić taki typ komendantki, która potrafi sobie z nami dać radę i być nam tak bliska, jak przyjaciółka. Może to za wiele, ale chciałybyśmy w komendantce mieć przedstawicielkę tego dobra, którego nam los poskąpił. A my byłybyśmy wtedy naprawdę tą gromadą, na której komendantka mogłaby się oprzeć.

Ochotniczka

Polskie lotniczki

Pierwsza kandydatka do latania przedstawiała się raczej teatralnie, bo też i teatr jej dostarczył. Była nią Mery Mrozińska, artystka komedio-operetkowa, która zobaczywszy w 1910 r. pierwsze zawody lotnicze na polu Mokotowskim (Warszawa) zapragnęła również latać jako „aeronauta" na „lotni" — jak wówczas mówiono. Tygodnik Ilustrowany dał jej zdjęcie: siedzi razem z pilotem Utoczkinem w maszynie, wśród gęstwy stójek antycznego dwupłata — ślicznie ubrana, bardzo odważna. Ale na tej fotografii też się i skończyło; o lataniu Mrozińskiej nie wiemy nic, zapewne był to kaprys rozpieszczonej aktorki.

W kilkanaście lat później lotnisko Mokotowskie zyskało swą pierwszą pilotkę z prawdziwego zdarzenia: Hankę Henneberg, siostrę Zdzisława, pilota dywizjonu 303, sławnego z czasu „Battle of Britain". Była studentką Szkoły Sztuk Pięknych, latała dobrze. „Laszował" ją malarz, sam pilot Tadeusz Pruszkowski. *)

W tym samym czasie — okres po 1926 — co śmielsze dziewczyny trenowały w aeroklubach Krakowa, Lwowa, Poznania, Wilna i Torunia i wkrótce latało w Polsce kilkanaście pilotek. Udział kobiet w lataniu zwiększył się, gdy szybownictwo stało się popularne i tanie. W aeroklubach zawsze bowiem patrzono na nie trochę niechętnie — zajmowały maszyny, czas instruktorów — i po co? Szybownictwo pozwalało na latanie, ile dusza zapragnie, dawało doskonałe wyniki w skróceniu czasu pilotażu motorowego. Kategorie A.B.C. a nawet D były przyznawane uczenicom, studentkom, panienkom biurowym, lekarkom i kobietom inżynierom, które nie tylko szybowały na „Czajkach", CW-5 i „Komarach", ale nawet stawały do konkursów i zdobywały dobre miejsca. Kilka z nich pisywało stale w „Polsce Skrzydlatej" i to bardzo dobrze. Reportaże i feljetony „Pantery" były miłe i dowcipne, Danuty Sikorzanki rzeczowe, solidne.

Obok tedy wciąż rosnącego lotnictwa sportowego mężczyzn rozwijało się równomiernie lotnictwo kobiece. W 1939 r. mieliśmy mniej więcej 25 pilotek motorowych i około 200 pilotek szybowcowych.

Wojna dała pracę łącznikową kilku z nich. Spisywały się dobrze. Gdy w Rumunii zabrano im maszyny, zajęły się przemytem papierów i ubrań do obozów lotniczych. Dwie z tych właśnie pilotek są dziś pilotkami ATA (Air Transport Auxliary): pierwszy oficer Anna Leska i pierwszy oficer Barbara Wojtulanis. Anna, która świetnie jeździ konno i która doskonaliła swój angielski jeszcze przed wojną, jest jedyną Polką na lotnisku ATA w płd. Anglii. Barbara przełamała trudności językowe dopiero tutaj; przydzielona jest do centralnego lotniska ATA na zachód od Londynu. Ta ostatnia, jeśli nie lata, wertuje fizykę, kłopocze się o matematyczne skrypty, jest w niej bowiem niesłabnąca ochota skończenia politechniki po powrocie do Kraju. Obie są bardzo kobiece, mimo spodni i furażerek.

Anna i Barbara utorowały drogę do ATA dwum następnym: Jadwidze Piłsudskiej i Marii Hrynakowskiej. Jadwiga jeszcze w gimnazjum kleiła modele. Nosiła wtedy beret z koniczynką i wracała często w Aleje Ujazdowskie z Ochoty, gdzie mieściła się szkoła Szachmajerowej, na piechotę, aby mijać powoli ten ruch, jakim tętniło lotnisko Mokotowskie, rozłożone wąskim a długim pasem wzdłuż Wawelskiej i Polnej. Anna i Barbara — to pilotki motorowe jeszcze z kraju, szybowniczki; Barbara miała i kurs akrobacji i spadochroniarstwa. Jadwiga przyszła do ATA, co prawda z szybowcową kategorią D i po motoszybowcach, na mtorze jeszcze się nie szkoliła. Poszło jednak dobrze, dziś jest second office'em i gdyby nie naszywka „Poland", nikt nie wziąłby tej smukłej i jasnej panny za cudzoziemkę, tak śliczną włada angielszczyzną.

Kadetem ATA jest obecnie Maria Hrynakowska, z kraju pilotka motorowa i instruktorka szybownictwa, Złapana przy przejściu przez granicę rumuńską, siedziała w więzieniu w Stanisławowie, zanim jej nie wywieziono do Z.S.R.R. na ciężkie roboty. Pracowała, przy 50 stopniach mrozu (ma skończoną farmację), pielęgnowała potem chorych na tyfus, sama chorowała. Dołączywszy do P.S.W.K. wyjechała do W. Brytanii. Storpedowana z całym transportem, trzy dni pływała na łódce ratunkowej. Minione lata udręki i poniewierki łagodzi teraz i koi wolne powietrze Anglii.

Latają tedy nasze first i second oficerki i nasz polski kadet ATA i robią dobrą robotę, która zostanie w pamięci Anglii jako istotny dowód sprzymierzenia narodów.

Dla sprawy naszej praca tych latających Polek ma głębszą wymowę. W kraju nie lata żadna. Nasze cztery pilotki reprezentują więc owo kobiece pomocnicze lotnictwo, które istnieje in potentio — i na które było nas stać jako państwo i społeczeństwo.

Będąc obowiązkowe i wytrwałe w pracy, miłe i dobre jako koleżanki wśród Angielek, Kanadyjek, Amerykanek, pełniąc służbę bez zapominania o tym co je czeka w Polsce, nasze cztery pilotki godne są kobiet pilotek w Kraju.

Jedna z nich — Danuta Sikorzanka — de la Pierre została zamordowana przez bolszewików w 1940 r. we Lwowie. Za co? zapewne za to, co ją w lotnictwie uczyniło cenną: za rzetelność pracy, śmiałość myśli i czynu.

Historia polskiego lotnictwa kobiecego zaczęła się beztroskim wdziękiem artystki. Dziś ma już swoją męczennicę.

Patrząc na szczęśliwe latające: Annę — Barbarę — Jadwigę — Marię — pomyślmy, jak damy odżyć lotniczym zamiłowaniom i umiejętnościom ich Sióstr.

A. Dobrowolska

*) Hanka Henneberg, zmarła na płuca około 1930 r., Tadeusza Pruszkowskiego rozstrzelali Niemcy w 1942 r.

Z tańcem i pieśnią u rannych

„Z inicjatywy ochotniczek jednej z Komp. Transportowej P.S.K. w Egipcie powtórzono w dniu 2. b.m. w szpitalu wojennym żywe i barwne ognisko dla rannych żołnierzy..."

Tak zwykle piszą we wszystkich dziennikach t.zw. recenzje. Chcę jednak raczej wprowadzić czytelników za kulisy tego może i małego wydarzenia, ale bez wątpienia wielkiego przedsięwzięcia.

Było jeszcze o wiele chłodniej i znośniej na pustyni, kiedy ochotniczki z chęcią przyklasnęły inicjatywie koleżanki świetliczarki i przygotowały pod jej umiejętnym kierownictwem ognisko p.t. „Z polską pieśnią i polskim tańcem". Ognisko wystawione w tut. Y.M.C.A. udało się podobno (nie byłam na nim). Od tego czasu dużo spraw ważniejszych zaprzątnęło umysły dziewcząt i mało kto już mówił o ognisku w kompanii, bo przyszło Cassino.

Najpierw duma i radość zalała ciepłą falą serce każdej i o niczym już mówić i myśleć było niepodobna. Potem zwolna nadchodzić zaczęły smutne wiadomości o rannych i o tym, że niektórzy z najbliższych nie wrócą już nigdy. Aż nagle, którego to było dnia i kto o tym powiedział pierwszy, nie wiadomo, dość na tym, że pojechało parę jaskółek do szpitala i od tego czasu coraz więcej zgłoszeń po przepustki, coraz więcej samochodów w niedzielę jechało do rannych. W kompanii słyszało się ciągle — o nich: „Wiesz, ten nie ma rąk, a ten stracił nogę. Wiesz, tacy jacyś cierpliwi i dumni i nawet się nie martwią niczym poza tym, że już nie wrócą tam, do akcji".

Jadąc do szpitala, dziewczęta miętosiły w spoconych rękach kwiaty. Ale kwiatów było za mało, by wyrazić, okazać jakoś szacunek, miłość, ból i wdzięczność. I znowu nie wiadomo która, a może wszystkie poddały myśl: — Pojedziemy tam z tańcem i piosenką. — Trzeba więc zacząć próby — ale kiedy? Choćby w tropikalnej przerwie. — W największy upał ćwiczono mazura, krakowiaka, kujawiaki i polkę. Nie łatwa to zresztą była sprawa z tymi próbami. Raz nie było Władysi i Janki, drugi raz Stasi i Heli. — Nie wróciły jeszcze z dyspozycji — meldowały koleżanki. Spocone, ledwo żywe przybywały z pracy i odrazu: „Zasiali górale owies, owies..." rozlegało się po całej kompanii.

W sobotę 1-go lipca nie poznałbyś kilku namiotów w kompanii. Miast wojskowego ordynku — czyżby pracownia krawiecka? Na łóżku niedbale rozrzucone wstążki, połyskujące halki, z pułapu zwisała najpiękniejsza krynolina. Chociaż oficerowie mat. i intedentura groźną robią minę w tym miejscu, muszę to koniecznie powiedzieć, że w balowych sukniach rozpoznałby każdy moskiterę, której brak było nad łóżkiem „aktorki". Nad tym całym, zupełnie nie na wojskowy namiot wyglądającym bałaganem, królowała postać w negliżu nie do opisania. Spocona, jak upiór czerwona — prasuje i krochmali kolorowe fatałaszki. Takie to były przygotowania do tego ogniska dla rannych spod Monte Cassino.

Myślę, że wędrowni grajkowie Szekspirowskiego Teatru mniej mieli roboty i może nawet mniej zapału w porównaniu z aktorą — szoferem z Transportowej Kompanii P.S.K.

2-lipca już rano samochody pełne były wykrochmalonych i pięknie odprasowanych strojów, pełne kwiatów dla rannych. Dzień był wyjątkowo duszny. Dziewczęta zmęczone i trochę stremowane przygotowywały scenę na 4-samochodach. Kiedy wieczór zapadać zaczął, rozpięto i oświetlono wielką mapę Polski, bagnetami odgrodzoną od wschodu, płomieniem od zachodu.

Zwolna zaczęły się dziewczęta przebierać. Ale — cóż to? Tylko ci chorzy, którzy mogą chodzić, są na placu, a miano przecież wynieść z łóżkami i tych, którzy nie mogą się ruszyć. Przecież dla nich przyjechałyśmy — brzmiało, a może nawet grzmiało za kulisami. I pobiegły — Zośki, Janki i Wandy z dzielnym kapralem, zwaną w kompanii „mama", na czele — wynocić łóka z rannymi. Wszystkich oczywiście nie przeniosły, ale ile mogły, na ile sił starczyło.

Przebrane, nie do poznania zmienione, jeszcze się czesały i malowały przed występem, gdy wynikła ta sprawa z rannymi, których nie przeniesiono na widownię. Widziałam sama, jak płakały: — Przecież my tu dla rannych tylko, a nie dla zdrowych — pochlipywały, zmazując kredki i szminki.

Jeszcze raz zaznaczyły na początku przedstawienia: — My z piosenką polską i tańcem przyjechałyśmy rozweselić rannych. — Przedstawienie poszło w ruch. Kolorowe, rozjaśnione w uśmiechu młode buzie, ognisty mazur. Czy te piękne, młode, ładnie ubrane dziewczyny, to te same brudne, w poplamionych kombinezonach drajwerki? A potem taniec po tańcu. Nie przesadzam — bajka. Zbójnicki, trojak, lewonicha, krakowiak. A na koniec zabrzmiała poważna nuta poloneza. Panie tamtych czasów z naręczem róż w rękach, zbliżając się w tańcu do łóżek — rozdawały kwiaty rannym.

Chorzy wycierali łzy rękawem koszuli, a jeden poprosił: „Niech mi pani, proszę bardzo, łzy wytrze". — Nie miał rąk.

Reżyserce, pani Dylko Józefie należy się wielkie uznanie za pracę, pomysł i udane ognisko, a dziewczętom z transportu podziękowali ranni swoim niekłamanym wzruszeniem.

Maria Weber

Ranek w ogrodzie

Tu niegdyś patrycjuszom Grek-lutniska śpiewał;
Rzymską duszę czarował śpiew — słabości zwiastun.
Dziś cykady-pieśniarki południowych blasków
Brzęczą w głowicach kolumn i w różanych krzewach.

Liście, już rozpalone od dotknięcia brzasku,
Drgnęły nagle, choć żaden wiatr tu nie przewiewa:
To granatowa figa spadła ciężko z drzewa
I słodkie lepkie wargi zanurzyła w piasku.

Jest kraj, gdzie pośród kolumn bielonych pni w sadach,
Kiedy śpiewając pszczoły poranne kołują,
Rumiane jabłko w trawę jesienną opada.
I długo liść trącony w powietrzu się buja,
A kraj ten tak daleko, że po wiatru śladach
Nawet jaskółki stamtąd tu nie przylatują.

Zofia Bohdanowiczowa

W zachodzącym słońcu

Do mego pokoiku na piętrze wpadł jeden z ostatnich promyków zachodzącego słońca i obudził w sercu dziwne uczucie rozrzewnienia.

Złoty promyk słońca, (wpadający przez okno prawdziwego pokoju o murowanych ścianach — a nie płóciennych, jak dotychczas), skierował wspomnienie i wyobraźnię do Kraju.

Kiedyś też był taki pokój na piętrze — jasny, przytulny. I był cudowny zachód słońca. Z drugiego pokoju dobiegała sciszonym głosem jakaś muzyczna audycja radiowa i wszystko składało się na to, żeby nie móc spokojnie odrabiać lekcji — a tylko wpatrywać się w łunę zachodzącego słońca.

Na stole leżał świeży list z domu, z Wołynia — od rodziców. Mamusia, tatuś, rodzeństwo, nawet najmłodszy braciszek, który ledwie do szkoły zaczął chodzić — pisali do mnie tyle miłych, dobrych słów, aby dodać mi otuchy do nauki i osłabić choć w części tęsknotę za nimi.

Dzisiaj właśnie była taka piękna lekcja. Nauczycielka historii i polskiego zaczarowała nasze młode, wrażliwe umysły śliczną nowelą o Demostenesie — mówcy i patriocie greckim. A „do domu" zadała pracę na dowolny temat — byle jednak była związana z treścią lekcji.

Tematów dużo możnaby znaleźć — ale jaki wybrać, by ująć to wszystko, co wezbrało w sercu po lekcji, na której była mowa o patriotyzmie, o matce, o ojczyźnie i o obowiązkach każdego dobrego obywatela?

Przez wszystko przebijała jedna i ta sama sentencja Demostenesa: „PRAWDZIWA MILOSC DO OJCZYZNY JEST WYOLBRZYMIENIEM MILOSCI DO MATKI". Tak, to nie pozostawia najmniejszych wątpliwości. Właśnie ten list od rodziny, i ten zachód słońca, i to że uczyć się mogę w polskiej szkole — to wszystko ma w sobie przecież tyle wielkiej treści. Tylko słowa są takie blade, że nie można w nich wyrazić wszystkiego.

Słońce zachodząc wspaniałą łuną, żegnało miasto gwarne, pełne pędu życia. Złote promyki wpadające przez okno rzucały różowo — opalowe blaski na list od rodziny z ukochanego Wołynia. Na otwartym zeszycie widniała sentecja Demostenesa o miłości ojczyzny.

I dziś leżą przedemną listy. Listy z daleka — z frontu. Leży ich dwa — od ojca i od narzeczonego. Treść pochłonęłam w mgnieniu oka, usiłując zobrazować sobie to niewiadome, które nas dzieli i odczuć nie dopowiedziane uczucia.

Pokój jest na piętrze — tak jak kiedyś. Zachód słońca, tak bardzo podobny do tamtego. W dole szumi gwar miasta, życie tętni z jednakową, nie powstrzymaną siłą, a w myślach przewija się — sentencja Demostenesa. Powraca do mnie na każdym silniejszym zakręcie losu i rozjaśnia mroki tułaczego szlaku.

I znowu powraca uparte pytanie, tak jak kiedyś: — Dlaczego słowami tak trudno określić uczucie? A na to, aby je zrozumieć, trzeba samemu je przeżyć, samemu umieć już nazwać to „coś", co stało się rzeczywiste i własne.

Dzisiaj, gdy do wspomnień dołączają się przeżycia tragicznego września 1939 r., a potem zesłanie do Rosji, a jeszcze potem jak cud: — Polskie Wojsko pod znakiem Orła Białego, idące przez Iran, Irak, Palestynę, Egipt do Włoch — jakże łatwo byłoby mi pisać o miłości do ojczyzny i o miłości do matki. Wtedy, dawniej, czułam to wszystko tylko podświadomie. Kochałam naszą piękną ziemię polską. Znałam błogosławioną ciszę wsi w wieczory majowe, gdy z oparów mgieł, zasnuwających zielone łąki dobiegał żabi koncert, a koło domu kwitły wiśnie białym kwieciem, a w kwitnących bzach i jaśminach słowiki wiodły swoje słodkie trele. Wtedy to bezwiednie rosła miłość do Ziemy Polskiej i przywiązanie tak wierne, jak może być tylko przywiązanie dziecka do matki.

Dziś patrzę na słońce, które zsuwa się już za daleki widnokrąg. Myśli plączą się ze wspomnieniami, tęsknota walczy ze zwątpieniem. W dole szumi gwar miasta, złoty promyk słońca rzuca blask uśmiechu na listy z frontu i pachnące słodko lilaróż kwiecie migdałów.

Nie wiem, czy to zmierzch wieczoru sprawia, że zatracam różnicę między tym co było a co jest dzisiaj — czy może naprawdę Jerozolima tak bardzo przypomina Polskę?

W wędrówce przez zimne tajgi, nędzę północy i południa, przez rozpalone słońcem pustynie, przez duszące hamsiny i upalne noce — wszędzie szukaliśmy podobieństwa do Kraju. I jeśli znalazło się coś, co czymś przypomniało daleką Ojczyznę, wtedy zdawało się nam, że ktoś uśmiecha się do nas z daleka. Tylko matka umie się tak uśmiechać, gdy chce dodać swym dzieciom otuchy.

Dziś leżą przede mną dwa listy, od osób tak drogich sercu. Dlaczego patrzę na nie, jak na świętość? Bo wiem, że w nich zawarte są myśli i uczucia tych, którzy przez trudy, znoje i krew torują drogę tym, co zostali na tyłach. Do dawnych uczuć przywiązania i miłości, dołącza się teraz jeszcze uczucie szacunku, które czyni z tych zwykłych, szarych ludzi — bohaterów i nieomal świętych.

Gaśnie promyk zachodzącego słońca, liliowy zmierzch wieczoru otula stare Święte Miasto. Wspomnienia odlatują wraz z głębokim westchnieniem, które bezwiednie wyrywa się z piersi. Wiem, że mam oczy bardzo smutne, ale w sercu spokój i wiarę. Biorę do ręki listy...

Genowefa Supczak

Jerozolima, 1944 r.

Lwów we wrześniu 1939 r.

1. wrzesień 1939. Wojna. Bombardowanie dworca. 100 trupów. Rozwalone domy, kamienie rozdarte, kobiety płaczące nad stosami gruzów i codzień bomby, bomby...

Lwów znowu spełnił swój obowiązek.

Karabiny maszynowe deszczem pocisków szeleszczących w koronach drzew parkowych zasypywały miasto. Złota polska jesień jaśniała całym urokiem. Słońce drwiło z nas jaskrawym uśmiechem.

W obrębie politechniki, w Jezuickim i Stryjskim parku, na ulicach pojawiły się groby.

Nie damy Lwowa! — to rozpaczliwe postanowienie niosły pod niebo pociski artylerii przeciwlotniczej z Bema, Listopada, Zamarstynowa, Winnik i Gródeckiej.

Pewnego dnia salwy dział ucichły. Srebrzyste, śmierć niosące, samoloty nie pojawiły się na niebie. Dziwna cisza zawisła w powietrzu.

Niemcy ustępują. Zabłysły uśmiechy niepewne, niedowierzające. A potem jak żałosny jęk pogrzebowego dzwonu wiadomość: porozumienie niemiecko-bolszewickie.

22 września o godz. 1 w południe na gmachu D.O.K. zawisła biała chorągiew. Ulicami przebiegły jakieś grupki młodzieży wołając: Zdrada!

Lwów się poddał.

Krótki rozkaz: zniszczyć pieczęcie, dokumenty, wszelkie ślady organizacji. Zrzucić mundur P.W.K. Jeden szloch niepohamowany, serdeczny. Prędzej! O trzeciej bolszewicy wejdą do miasta.

Łyczakowską, Piekarską, z pakunkami drobiazgów w rękach odeszły gimnazistki, studentki, modniarki... Smutek kamieniem zwalił się na piersi.

Placem Bernardyńskim, Halickim, Legionów plącze się błędny tłum. Po parotygodniowej walce i siedzeniu w schronach i piwnicach, wyszli wszyscy na światło dzienne. Jadą tabory z konserwami, sucharami, ktoś je chwyta. „Bierzcie!" — zachęca siedzący na wozie żołnierz, rozbrojony już, bez pasa. Przed gmachem D.O.K tłumy oficerów. Rozpięte bluzy, zerwane dystynkcje, osowiałe spojrzenia. Lwów poddał się bolszewikom.

Wtem w tłumie cichy szept: ulotka. Ktoś nalepił ją na murze przy hotelu Żorża, tuż obok sklepu Berty Stark. Podpisany generał Januszaitis. Młodzieży! Zgłaszać się, będziemy walczyć, nie poddamy się.

Weszli od strony Łyczakowskiej, Stryjskiej, Pełczyńskiej. Powitał ich Lwów mroczny, żałobny, bez świateł. Na chudych, małych konikach ciemne, mongolskie, ogorzałe twarze, małe skośne oczy, szare szynele wystrzępione u dołu, karabiny w pogotowiu, jeden skulony, drugi zarozumiale, bezczelnie rozglądający się dokoła. Patrzyłam. Nie zapomnę. Kadecką wjechały tanki. Z łoskotem, pykaniem, smrodliwym zapachem złej benzyny — przezwyciężały przeszkody w przeddzień wzniesione z płyt poniszczonych chodników.

Zaczynał się nowy porządek.

Ewakuacja szpitala Czerwonego Krzyża z budynku politechniki do gimnazjum Królowej Jadwigi. Pod ostrzem bagnetów formuje się koszmarny pochód. Kilkudziesięciu ciężej rannych, ten bez ręki, ów bez nogi, wsparci na ramionach swych trochę silniejszych kolegów. Przerażone tłumy patrzą. Patrzą rozszerzonymi oczyma. Czyż „wielka idea" każe znęcać się nad konającymi, czy tylko tak dziwnie ją wypaczono?

To chyba nieporozumienie. Bo przecież mówią powszechnie o kulturze, o konieczności kształcenia młodzieży. Otwarto wszystkie szkoły. Lecz i tu dzieją się rzeczy dziwne. W klasach szkolnych pozdejmowano krzyże, obrazy. Na ich miejscu portrety nowych bożyszcz. Nie wolno nauczać religii. Naukę rozpoczyna się bez modlitwy. Gdy wchodzę do klasy i daję dzieciom znak by usiadły, one stoją, oczekując czegoś, do czego przywykły od lat. Nie mogę patrzeć w ich dziecięce, pytające oczy. Wstyd mi ich niemego wyrzutu. Stoję, milcząc jak i one. Czuję łzy cisnące się do oczu. „W Imię Ojca, Syna i Ducha Swiętego" — rozpoczyna modlitwę roztrzepana zawsze Stasia, córka ubogiego szewca. Kreślę znak krzyża i modlę się razem z dziećmi głośno, gorąco...

Potem konferencja z nowym kierownikiem szkoły, komsomolcem gdzieś spod Charkowa.

— Wy nie możecie uczyć, dla was nie ma miejsca w sowieckiej szkole...

Jestem bez pracy. Czuję się jak tropiony zwierz. To samo zresztą dzieje się z innymi nauczycielkami. Nie mogą nagiąć się do nowego programu, nie mogą znieść wyrzutu w oczach dzieci.

A w program nauczania wtłoczono całą ideologię bolszewicką ze strasznymi obrazami mordów i grabieży. Nowi nauczyciele bez przygotowania fachowego, mający jedynie stempel Komsomołu w swej liście personalnej, organizują mitingi młodzieżowe, kółka, zebrania...

Wesoły, gwarny Lwów, odział szatę smutną i szarą, jak ów deszcz jesienny siąpiący uporczywie. Coraz więcej szarych szyneli, coraz więcej niebieskich czapek o czerwonych otokach.

Na ulicach ogonki. Dzień i noc. Po chleb, po cukier, po naftę. Tu można się dowiedzieć o bliskich, znajomych. Kogo aresztowano, dokąd i kiedy wywieziono.

Coraz więcej mężczyzn nie goli zarostu. To ci, którzy wiedzą, że ich areszt nie minie, ale chcą odwlec chwilę zdemaskowania. Kryją się w jakichś norach, nocując codzień gdzie indziej, czasem pod gołym niebem.

Wiem, że i na mnie kolej przyjdzie. Że zastukają przed świtem lub tuż po północy do moich drzwi i poproszą, bym się udała na posterunek milicji dla wyjaśnienia „małego nieporozumienia". I wiem jakiego rodzaju będzie to wyjaśnienie.

K. W.

WALENTOWA

(Opowiadanie)

W mieszkaniu na najwyższym piętrze jednej z nielicznych ocalałych kamienic w śródmieściu warszawskim grupka ludzi od dłuższego czasu prowadziła w półmroku przyciszone rozmowy. Zadanie nie było łatwe. Od dwóch tygodni bawił w uwięzionej stolicy kurier rządu paryskiego. Zakończył już pracę i powinien już wracać. Teraz jednak właśnie pokręciło się wszystko. Jednego po drugim trzech gestapowców znajdowano rankami w kałużach skostniałej na mrozie krwi — i nigdy jakoś nie wykryto sprawcy. Toteż wzrosła fala represji, dworce kolejowe, rogatki obstawione były jak nigdy. Na dobitkę lekkomyślna publiczka warszawska szeptać poczęła po kawiarniach o jakichś ważnych gościach z Paryża. Może to były domysły czy nadzieje, a może jednak ktoś i wygadał „pod słowem honoru". Okupanci zaniepokoili się: nakazano specjalną czujność i poszukiwania; z granicy karpackiej nadeszły wieści o nowych przepustkach dla całego pasa nadgranicznego. Wszystko to nie sprzyjało podróżowaniu za fałszywym paszportem,

Ale kurier nie mógł dłużej zwlekać z wyjazdem. Musiał przy tym zawieźć do Paryża nie tylko ustne sprawozdanie, lecz także oryginalne dokumenty. Miało ich jechać dwóch: ten, który przed dwoma tygodniami przybył z Paryża do Polski, a z nim drugi: wysłannik Polski podziemnej do rządu na emigracji.

Na naradzie w śródmiejskiej kamienicy uradzono, że pomimo wszystko wyruszą nazajutrz. Postanowiono poza tym rozłożyć ryzyko i dodać kurierom osłonę. Mianowicie z nimi ma jechać do granicy kobieta — i ona narazie powiezie kompromitujące dokumenty. W drodze wszyscy troje mają się nie znać i dopiero przy samej granicy węgierskiej kurier paryski przejmuje dokumenty, a osłona wraca.

Nazajutrz w ruchliwym sklepie piekarskim naprzeciw dworca kolejowego kurierzy spotkali towarzyszkę podróży. Mieli ją poznać po koszyku w ręku i po kraciastej chustce. Przyszła i stanęła cicho w kolejce po chleb. Miała może z pięćdziesiąt lat, średniego wzrostu, przysadzista, ubrana w jakieś czarne ciepłe odzienie i przewiązana wielką wełnianą kraciastą chustą. Żadnych poza tym cech szczególnych: najbardziej typowa baba wiejska. Bo też Walentowa rzeczywiście była taką typową babą wiejską, gdzieś spod Sochaczewa. Sochaczew spłonął w wojnie, spaliła się także wieś Walentowej. Ściśle rzecz biorąc — żołnierze wieś spalili, bo ze wsi strzelano do wkraczających wojsk niemieckich. Powiadano, że Niemcy spędzili mężczyzn ze wsi do stodoły i spalili ich tam żywcem. Powiadano także, że mąż i ojciec Walentowej byli w tej stodole, ale sama Walentowa nic o tym nie chciała mówić. Gdy niedobitki poszły ze spalonej wsi, Walentowa sama pojechała do krewnych do Warszawy a i o synu — jedynaku żadnych nie miała wieści z wojska. A potem znalazła jakoś drogę do tych, co to potajemnie kontynuowali walkę i prosiła, żeby dano jej możność służenia sprawie.

Pociąg do Krakowa miał odejść o dziewiątej rano. Niemcy uruchomili raz już spaloną przy bombardowaniu wielką halę przyszłego dworca. Tłok był tu teraz nie do opisania. Halę poprzegradzano w różnych kierunkach, podzielono na kratki, tłum przechodził przez coraz to inną kontrolę. Za wielu jednak było podróżujących i za wiele pracy dla kontrolerów. Kurierzy niczym nie różnili się zewnętrznie od reszty szarego tłumu; w tych czasach w Warszawie każdy ubierał się w najgorsze. Wielki Niemiec w hełmie stalowym i w wysokich lakierowanych butach mocno ustawił się na rozkraczonych nogach i z podełba spoglądał na podającego dokumenty. Zmrużone oczki starały się czytać na twarzy. Jeżeli w tym decydującym momencie nie okazało się niepokoju — reszta szła łatwo. Gdzieżby tam w ciżbie ludzi i w złym świetle niedokończonego dworca kontroler miał czas i możność dostrzec subtelne różnice pomiędzy dokumentem autentycznym a fałszywym.

Kurierzy przeszli na peron, a po paru godzinach czekania, znaleźli się w zatłoczonym ponad wszelką miarę pociagu krakowskim. W sąsiednim przedziale w kąciku siedziała kobieta z koszykiem w ręku. W koszyku wiozła igły, nici, grzebyki — drobiazgi, które ludzie z miasta wymieniali w tych czasach po wsiach na chleb, masło, jaja. Miała poza tym w koszyku produkty na drogę: kawałek chleba i dużą kiełbasę. Nie śmiał nikt wiedzieć, że tu właśnie w kiełbasie, był ukryty rulonik dokumentów o bezcennej wadze.

Pociąg pasażerski w administracji niemieckiej potrafił iść dwie doby z Warszawy do Krakowa. „Deutsche Wirtschaft" — mówiono o tym w Warszawie. Pociąg z kurierami pobił wszystkie rekordy, a przy tym dziwnie jakoś krążył: zajechał z początku do Częstochowy, potem dlaczegoś zawrócił do Kielc, a wreszcie skończył się na stacji Tunel; wyrzucił tu wszystkich pasażerów — i poszedł sobie. Na peronie bezludnej stacji Tunel tłum czekał przez całą mroźną noc, dopiero nad ranem pociąg towarowy z Krakowa zabrał rozbitków. A potem znowu dwa dni inny pociąg w ten sam sposób wiózł ludzi z Krakowa ku granicy węgierskiej.

Z końcowej stacji kolejowej do granicy było daleko — przeszło 60 kilometrów. Jechać trzeba było końmi. Na tym szlaku niebezpieczeństwa nielegalnej podróży wzrastały niepomiernie. Cerberzy niemieccy czyhali w każdej wsi na nadjeżdżające sanie. Mieli dosyć czasu na dokładne zbadanie dokumentów. Trudniej też było w razie czego wyrzec się Walentowej, jadąc z nią tymi samymi saniami. Dla niepoznaki poszła ze stacji pieszo spory kawałek drogi za miasteczko, a potem uprosiła przejeżdżające sanie, żeby ją podwieziono.

Im bardziej jednak mnożyły się trudności i niebezpieczeństwa — tym pewniejsze miny robili kurierzy i tym głośniej śmieli się dojeżdzając do okutanego w baranice wartownika. To stara wypróbowana sztuczka wojenna: atakujący krzyczą tym głośniej, im mniejsza jest ich siła.

Bezczelność popłacała i tym razem, a Bóg strzegł: kurierzy minęli wszystkie rogatki i przeszli przez wszystkie kontrole. Gruba baba wiejska jakoś mało interesowała srogich wartowników.

Dojeżdżano już do granicy. Dochodziła ósma wieczór i było ciemno od dawna. Zabójcze mrozy sprzed tygodnia ustąpiły właśnie tego ranka, ale termometr stał wciąż jeszcze bardzo nisko. Snieg skrzypiał pod płozami, a wokoło świat mielił się nawet ciemną nocą. Tej zimy w Karpatach legły wielkie, złe śniegi, głębokie i sypkie. Droga szła dołem górskiej kotliny. Już tylko trzy kilometry zostało od wsi, ostatniej przed granicą. Tędy właśnie kurier paryski przechodził niedawno, gdy szedł z Węgier. Swój człowiek z tamtej strony przywiódł go z przełęczy to tej samej wioski i tu przekazał pod opiekę Osipa, miejscowego chłopa. I teraz kurierzy jechali do tegoż Osipa, który miał przeprowadzić ich przez góry — zaraz tejże nocy. Tu mieli rozstać się z Walentową.

Podróżni jechali teraz w milczeniu. Napięcie nerwowe minęło. Bo jednak najniebezpieczniejsza część wyprawy była już poza nimi. Podawanie z uśmiechem agentowi Gestapo fałszywych dokumentów stanowczo kryło w sobie więcej ryzyka niż marsz nocny przez lasy, gdzie jest tylu sprzymierzeńców. W dodatku relacje stwierdzały, że w wiosce granicznej nie ma garnizonu niemieckiego, a jedynie patrole przechodzące od czasu do czasu wzdłuż granicy.

Nie kto inny jednak, jak właśnie człowiek wyłonił się nagle z mroku przed samymi saniami. Zimno przeszło po skórze

podróżnych. Niepokój zamienił się jednak zaraz potem w jeszcze wiekszą pewność bezpieczeństwa, bo człowiek na drodze był nie kto inny, jak Osip we własnej osobie. Wracał do wsi z miasteczka. Dosiadł się z tyłu sań i opowiadał: nic nie zmieniło się na granicy; Niemców nie widziano tu od paru dni — granica wolna.

Dojechali do wsi. Chata Osipa była na przeciwległym krańcu, przy początku perci, wiodącej na przełęcz. Osip wziął lejce i skierował sanie do chaty krótszą drogą, opłotkami. Po chwili jednak sanie wjechały w jakąś zaspę, konie zapadły się w śnieg po brzuchy — i skończyła się jazda. Osip kazał iść za sobą, a sam poszedł szybko przodem.

— „Czemu on tak leci?" — szepnęła Walentowa jednemu z towarzyszy. — „Czy aby tylko Osip nie oszukuje?".

Zatrzymali się wszyscy, a jeden zawołał na Osipa, żeby stanął. Ale Osip nie odwrócił się nawet; więcej — przyspieszył kroku.

Walentowa objęła teraz zupełnie komendę. — „Poczekajcie" — rzekła i zawróciła do najbliższej chaty. Szła tak szybko, jak tylko na to pozwalał głęboki śnieg, zabawiła w chacie chwilę tylko, a wypadła z niej biegiem.

— „Zdrada! — wołała zadyszana. — Osip zdradził. Niemcy siedzą u niego w chacie i tylko patrzyć, jak tu będą. To dlatego hycel utopił nam konie w śniegu, a potem uciekł naprzód. Ale ja tu gadam, a trzeba robić. Bierzcie odemnie te papierki i idźcie tą oto drogą. Zaprowadzi ona was do samej granicy, a ja tymczasem pójdę do Niemców i może jakoś ich zatrzymam".

I tu kończy się historia Walentowej. Nie było czasu na targi. Walentowa ucałowała obu, przeżegnała — i poszli. A ona poszła do Niemców.

Nie wiadomo, co im mówiła, ani też nie wiadomo, czy kiedy wróciła do Warszawy. Wiadome jest natomiast, że patrol niemiecki wyruszył w pogoń za kurierami dopiero w dobre parę godzin po tym, jak został zaalarmowany przez Osipa. Dotarł w pogoni aż do wioski węgierskiej — akurat w kwadrans po spiskowcach. Oficer węgierski nie wydał zbiegów polskich, a od Niemców wysłuchał całej historii pogoni. Opowiedzieli mu, że z początku szli mylnym śladem, że potem jednak odszukali korytarze, kopane przez zbiegów w zaspach śnieżnych, że ślady doprowadziły ich aż do wsi węgierskiej i że — Donnerwetter — przyszli za późno, pomimo, że mieli narty i psy policyjne.

O Walentowej, prostej babie wiejskiej, Niemcy nic nie mówili oficerowi węgierskiemu.

(„Tygodnik Polski"). Władysław Gieysztor.

MONIKA GARDNER

Jeżeli nie mamy wśród obcych wielu przyjaciół, to jednak ci nieliczni są wierni aż do śmierci. Są szlachetni i bezinteresowni. Taką była Angielka Monika Gardner. Znakomita pisarka Maria Kuncewiczowa pisze o niej i jej śmierci w pięknym i wzruszającym zbiorze wspomnień „Klucze".

Stara osoba z twarzą wizjonerki. Monografistka polskich romantyków. Tłomaczka polskich książek. Polskich? Dlaczego?

Przez miłość do „a handsome dashing Pole"? Tak. Tylko, że tym świetnym Polakiem był dawno umarły Mickiewicz. Poeta, który nigdy do Anglii nie zbłądził, póki go — ducha nieposkromionego — nie wprowadziła tam, w roku 1911, oschła, wiktoriańska Angielka.

Dano mi jej adres zimą. Mieszkała w Hampstead, w starym domu z ogródkiem. Sama otworzyła drzwi. Weszłyśmy na górę i siadły przy kominku. Te same pewnie, co za jej młodości, palisandrowe meble stały naokoło; wystrzygane, czarne profile wujów i ciotek w owalnych ramkach wisiały na ścianie; między nimi — młodzieniec „wsparty na Judahu skale". On. I inni... Słowacki. Krasiński. Kościuszko.

... Monika Gardner podała mi herbatę w filiżance z wypełzłą pozłotą. Spłowiała kotara kryła okno. Na stoliku leżały tomy Homera, Virgilego i Danta. Bez trudu można to było odgadnąć, że pięćdziesiąt lat temu leżały już tutaj, kiedy młoda Monika rozlewała swoim wiktoriańskim wujom herbatę do złoconych czarek.

Gruba kotara, tak jak kryła teraz światło lampy przed bombą niemieckiego lotnika, tak pół wieku temu kryła je przed gniewem sąsiadów. O, bo w tym pokoju zawsze, bez względu na epokę, działy się rzeczy przeciwne porządkowi porządnych.

Wujowie, po herbacie u siostrzenicy, wracali do siebie, zapalali długie cybuchy, wkładali szlafmyce, w zaciszu mieszczańskich wnętrz zapominali o świecie.

W roku 1940 lotnik niemiecki, rzuciwszy bombę, wracał do ojczyzny z fotografią świata, mniejszego o kilka domów i o kilka dusz.

Tymczasem — za swoją kotarą — Monika, zarówno pięćdziesiąt lat temu, jak obecnie, oddawała się pracy odkrywania i powiększania świata.

Pracy tej nie imperialista Kipling ją uczył, tylko uczyli wielcy podróżnicy po niebie i piekle: Homer, Wirgiliusz, Dante.

Razem z Odyssem odwiedzała słonecznych Feaków, przepływała z Eneaszem czarne wody Tartaru, z Dantem patrzyła w ów krąg piekielny, gdzie wiecznie konają źli władcy.

Ktorejś wiosennej nocy londyńskiej, w latach pierwszych naszego stulecia, wiatr rozchylił kotarę i bezsenny sąsiad z przeciwka zobaczył pannę we łzach: Monika płakała nad pożółkłą broszurą.

Sąsiad nie spał z powodu reumatyzmu, widok więc zdrowej istoty, płaczącej nocną porą nad drukiem, napełnił go urazą.

Zbudził małżonkę. W swoich włóczkowych i barchanowych szlafrokach, długo stali w oknie, pasąc oczy karygodnym wybrykiem młodości.

— Noc jest do spania. Noc jest do spania — mruczeli.

— Ciekawam cóż to tak wzruszającego ona tam czyta? — zgadywała stara.

— Francuskie romansidło — warknął stary.

Wrócili do łóżka, wrząc od mściwych uczuć. A Monika czytała dalej historię ostatniego polskiego powstania.

Nikt — sądziła — nie widział jej łez. Nie była do nich skora. Nie zgroza je wywołała i nie litość. Raczej tęsknota. Jednak skoro płynęły, poczuła się związana nimi, jak przysięgą.

Jedyne, dostępne jej, drogi ucieczki z wyspiarskiego letargu, prowadziły ją szlakiem magów. Znużyła się już trochę nieziemskością tego szlaku, napastowanego przez harpie, bronionego przez anioły. Młodość żądała spraw realnych. W takiej to chwili znużenia Monika natrafiła na broszurę o polskiej insurekcji. Stanęła przed nią Polska równie tragiczna, jak starożytny Ereb, czy chrześcijańskie piekło, a przecież rzeczywista, współczesna, podległa ratunkowi.

Monika Gardner zatęskniła do „mierzenia sił na zamiary". Zaczęła uczyć się Polski, odkryła Mickiewicza i ze szlaku magów środziemnomorskich skręciła na zarośnięty macierzanką trakt nowogrodzkiego maga.

Kiedy do niej przyszłam zimą 1940-ego roku, miała za sobą długie życie i kilka angielskich tomów o niespokojnym kontynentalnym narodzie. Po polsku mówiła źle. Polaków widywała nieczęsto, miast naszych i wsi prawie nie znała. Mimo to, lepiej od niejednego Polaka, znała Polskę i rozumiała polskie słowa. Znała tę Polskę, która nigdy nie znika z mapy, rozumiała polszczyznę bohaterów, uczonych, artystów i ludzi pokornego serca.

Zajęta była tłumaczeniem Historii Polski Haleckiego oraz przeróbką własnej książki o Kościuszce. Nie była ani sentymentalna, ani „pełna zapału". O swoich pracach mówiła tak, jak ktoś strudzony, lecz sumienny, mówi o robocie, za którą mu dobrze płacą.

Wieczór mijał cichy, bez alarmu, bez wiatru... Żaden sąsiad nie mógł obserwować nieporządku za okienną kotarą z przeciwka. Tego nieporządku, że stara kobieta, objęta kategorią obywatelek uciążliwych w bombardowanym mieście, żyje tam, nieporuszona. Że, należąc do szczęśliwego narodu, służy narodowi nieszczęśliwemu. Że z sumiennością odrabia zadania, których jej nikt nie powierzał. I że sytość duszy uważa za dobrą zapłatę.

Nakręciłam numer telefonu Moniki Gardner, kiedy mi powiedziano, że niema już tego telefonu, ani tego pokoju, gdzie on stał na biurku, i że niema już Moniki Gardner. Był ranek.

... Wsiadłam w taksówkę, pojechałam na Hamstead, bo w takie rzeczy trudno jest wierzyć na słowo. Sznur przegradzał ulicę. Przy niektórych domach pracowali jeszcze strażacy, swąd i pył stały jeszcze w powietrzu. Sciany wiadomego mieszkania także jeszcze stały. W środku tylko podobno było pusto. I podobno Monika leżała w palisandrowym łóżku, cudem jakimś spuszczona na dno swojego domu, nakryta popiołem. Rękopisy nadpalone, pozalewane, ale czytelne miano także odgrzebać.

Ludzie patrzyli zza sznura na ogromną wyrwę w szeregu kamienic... W oknie Moniki, powiększonym o pół frontowego muru, łopotała, jak chorągiew, wielka ciężka kotara.

Przez lat pięćdziesiąt kryła przed obmową serce wrogie małości. Aż wytropił je i poraził lotnik „wielkiego Fuehrera".

Maria Kuncewiczowa

Rzym — Zamek Św. Anioła i Bazylika Św. Piotra

Rzym widziany oczami ochotniczki

Przed wojną w Polsce w niektórych szkołach średnich urządzano dla maturzystów pielgrzymkę do Rzymu. I w naczym gimnazjum przyjął się ten zwyczaj. Niestety nie zdążyłam w Polsce zdać matury, bo musiałam przerwać naukę, aby przez wiele miesięcy „rabotat dla sowieckiej właści". Maturę zdałam dopiero w Szkole Młodszych Ochotniczek, a zamiast wycieczki do Rzymu, zwiedziłyśmy Luxor i Karnak. Moje koleżanki z gimnazjum w Warszawie posądzą mnie o blagę, kiedy im będę opowiadać o tych faraońskich wspaniałościach. Ale cokolwiek im opowiem o moich przeżyciach, będzie i tak nie do wiary. Za to z góry przyrzekam, że ja uwierzę we wszystko, co mi one opowiedzą, bo wiem, jakie są formy barbarzyństwa, jakie są metody prześladowców i jak silna jest wola sprzeciwu.

Nieprędko jednak nadejdzie ta chwila, kiedy będziemy mogły rozmawiać o tym, co było. A może i niezbyt dużo czasu będzie na takie rozmowy tam — w Kraju. Tymczasem mnożą się przeżycia, zmieniają się kraje, a tylko tęsknota jest ciągle ta sama, choć i na nią jest coraz mniej czasu. I tak jest niewątpliwie najlepiej, że nie ma czasu, że praca ściśle graniczy z nocnym snem.

Ale któregoś dnia zebrano nas z rozmaitych placówek naszej pracy i wyprawiono do Rzymu. Ciężarówka gotowa, walizeczka i chlebak do ręki, suchy prowiant, kurz i słońce, piękny krajobraz włoski, miasteczka nierzadko rozbite na proch, drogi natłoczone transportami, serpentyny, wyboje i wesoły śmiech, choć jelita bolą od wstrząsów.

Niektóre z nas połykają oczami wszystko, co jest po drodze. Bywają takie żarłoczne osoby, dla których ciągle jeszcze gaje oliwne i skrzeczące cykady są przysmakiem, a rozbity most ostrą przyprawą. Ale są i zblazowane, które krzywią się na wszystko i nie spodziewają się zbyt silnych wrażeń nawet w Rzymie. Są oczywiście i takie, które, wybrawszy złoty środek, marzą o dobrym łóżku w Rzymie i roją o zrobieniu manicury. W gromadzie muszą być przecież reprezentowane rozmaite... stronnictwa.

Tymczasem odrazu spotykają nas miłe niespodzianki. Zajeżdżamy na ulicę Boncompagni, gdzie jest Dom Wypoczynkowy dla Sióstr P.C.K. i PSK. Nie dom a pałac. Piękne inkrustowane meble, obrazy, stara porcelana, rzeźby — i jakiś miły miodny czy złocisty kolor, który nie bardzo harmonizuje z naszą szarą, a teraz po przyjeździe w dodatku zakurzoną barwą. Pożeraczki wrażeń wykrzykują więc swoje: och i ach! — a zblazowane wolą nie dostrzegać komfortu. Z początku złoszczą się nawet w duchu na to wszystko, ale ich sprzeciw szybko mija pod wpływem gościnności pań z zarządu, starań, nawet dogadzań. Zblazowanę dołączają zatem do stronnictwa sybarytek i zaczynają się błogo uśmiechać, tym bardziej, że w wielkich lustrach widzą, jak im z tym uśmiechem do twarzy. A kiedy mówią swoje za skąpe: dziękuję — robią się bardzo ładne.

Zwiedzanie miasta odbywa się według ułożonego menu. Trzy, cztery dni — przewodnik albo przewodniczka trudzą się, żeby nam wszystko najważniejsze pokazać, objaśnić według historii i według wartości artystycznej. Powoli kruszeje nasze nieuctwo, albo powracało, to co zostało zapomniane. Pogański i chrześcijański Rzym splątał się w skrócie wieków i pogodzony z sobą po męczeństwach i przelewie krwi w ułamkach, w ruinach, w zabytkach piękna — wywołuje zachwyt. Możnaby powiedzieć, że zachwyt załagodził przyczynę, aby się stać... skutkiem.

Bardzo niemądrze reaguje się na te masowe „zabytki". Już, już chce się z siebie wydobyć jakieś własne uwagi, już chce się sobie przyswoić jakiś indywidualnie dostrzeżony szczegół, gdy naraz wszystko zmiesza się w pospolitym zdziwieniu turysty i słowa przewodnika naprowadzają na utarty tor. Wszystkie więc mamy ten sam wyraz jakby krótkowzrocznych oczu, natężamy słuch jak głusi i stąpamy na spuchniętych ze zmęczenia stopach jak inwalidzi.

Potem zaczynają się kościoły, które są tak piękne, że niełatwo jest w nich się modlić. Relikwie i sarkofagi świętych, obrazy i rzeźby, freski, witraże, mozaiki, bronzy, złocenia, marmury, stropy, kopuły, filary — jasność, półmrok i brzask... Nasze kroki biją o kamienne podłogi, w stallach prałaci odmawiają litanię, przy bocznych ołtarzach cicha msza, organy huczą, chór chłopców śpiewa gardłowo, przy konfesjonale klęczy żołnierz amerykański, kobieta, nakrywszy zdobną fryzurę chusteczką do nosa, szepce pacierz ukarminowanymi ustami, a mała dziewczynka goni się z braciszkiem, wybuchając co chwila wesołym, dziecięcym śmiechem.

W tym wszystkim wbijają się w uszy, a może i w pamięć nazwiska papieży fundatorów i protektorów, artystów tak nieśmiertelnych jak imiona świętych. Robi się z tego „kasza w mózgu", ale tak podobno przetwarzają się wrażenia turystów — na kaszę sypkich, gadatliwych i przechwalnych słów. Nic nie szkodzi — „żdziebko" snobizmu nie zawadzi w tych ciężkich czasach. Kazie, Danki i Hanki szybko zrównoważą tę wadę ciężką pracą w szpitalu, przy kierownicy, w kantynie, czy przy radioaparacie.

Punktem kulminacyjnym naszego zwiedzania jest oczywiście Watykan. Chwila, kiedy wnoszą na purpurowym fotelu Ojca Swiętego, przypomina sen, który spływa nad ranem, i nie przybierając wyraźnego kształtu, jest tylko zjawiskiem. Tak właśnie Ojciec Swięty — biały, zjawiskowy — błogosławiącym gestem przesuwa się wśród tłumu żołnierzy, w zamglonym od oddechów powietrzu. Zgiełkliwych Amerykanów zdaje się uśmierzać ten ruch małej ręki i chyba po raz pierwszy w życiu stoją na baczność. Ale wnet zaczynają aparaty fotograficzne „pstrykać", aby stało się zadość pragnieniu sensacji i utrwaleniu jej. Kiedyś w Chicago czy innym Bostonie pochwalą się tym zdjęciem, które ma jednak wielką wadę, bo nie oddaje barwnych mundurów gwardzistów i szwajcarów papieskich, a zwłaszcza bogatego stroju szambelana.

Toteż spłowiałe freski w kaplicy Sykstyńskiej nie zachwycają Amerykanów. Freski te są przecież tylko dziełem mistrza Odrodzenia, więc epoki, której nie ma w hi-

storii amerykańskiej. Odkryta Ameryka zaczynała swoje białe niemowlęctwo, gdy stara Europa „odradzała się", prześladowana wizjami Sądu Ostatecznego.

Stara Europa, stary Rzym... A teraz wojna wyzwoliła pierwotną, dzikość. A może to już schyłkowe okrucieństwo? Tak myślę, idąc za przewodnikiem, który umie wszystko napamięć i chciałby nam w kilku dniach pokazać Rzym Cezarów i Rzym Papieży, coś znagła ujawnić i coś skrzętnie zataić. Bo ostatni Cezar - Duce zamilczany jest całkowicie. Nie ma go na murach, nie ma w nazwach ulic i placów. Skrył się pod nowymi tablicami, nowymi nazwami, pod afiszami, ogłaszającymi programy rozmaitych stronnictw, tych wskrzeszonych i tych, które rodzą się z niedoli tego kraju. Albo inaczej — żerują na niedoli tego kraju.

Święte Miasto, prawie nienaruszone przez bomby, kwitnie przede wszystkim — kobietami. Niemal wszystkie są tu piękne. Ich puszyste włosy, świecące oczy, barwione, gładkie policzki, karminem wyrysowane usta — przypominają kwiaty. Kwiaty wprawdzie nieco cudaczne, a niekiedy nawet bardzo zabawne. Tak właśnie my, w mundurach reagujemy na modę, na te kapelusze - figielki, na koturnowe pantofle, na kroje, barwy i desenie powiewnych sukienek. To, co napewno wydawałoby się nam kiedyś wdziękiem, szykiem, gustem — dziś wydaje się nam humorystyką. A nawet skłonne jesteśmy do oburzania się. Bo przecież jest ta wojna i dla nich, dla tych wymuskanych kobiet, które fruwają po szerokich, jasnych ulicach Rzymu, jakgdyby nic nie wiedziały o ruinach małych i większych miast swojego kraju, jakgdyby nie wiedziały o nędzy, śmierci, kalectwie swoich najbliższych, walczących po tej i po tamtej stronie frontu.

Te śmieszne kwiaty, czy motyle, czy papużki, uczepiwszy się ramienia amerykańskich żołnierzy, kontrastują z rubasznością żołnierskich słów i manier. W tym kontraście jest właśnie ta zazdrość, ta niestosowność. Nie mamy jednak prawa osądzać tych obcych kobiet. Nie należy też uogólniać. Napewno nie wszystkie kobiety w Rzymie są lekkomyślne i łatwe. Ale te barwne i barwione zalegają ulice, bary, kawiarnie, podczas gdy tamte pracują, albo pogrążają się w nędzy swoich domowych gospodarstw, w żałobie i rozpaczy.

Na ostatku dodam jeszcze coś, co nas więcej porusza niż te kontrasty w wojnę wtłoczonego Rzymu. Mam tu na myśli nasze niektóre Polki - Rzymianki. Podkreślam bardzo grubą kreską to słowo: niektóre — aby nie było nieporozumień. Otóż te niektóre są niemal tak samo barwne, kwieciste, fruwające. Ich zachwycająca młodość jest tak egoistyczna, że nie możemy się z nimi porozumieć. Owszem — znają wszystkie frazesy patriotyczne i nawet nas chcą nimi oczarować. Ale otrząsają się na słowo: służba i pogardzają strojem, który nazywa się nie sukienką, lecz — mundurem. Jakże kochają te swoje szmateczki kolorowe. I jak już daleko odjechały od Polski, która krwawi się i ginie. Daleko, choć były tak blisko niej przez te wszystkie lata wojny. Młode, samotne, wolne... Nie gorycz przezemnie przemawia, ale coś, co jest między oburzeniem a żalem.

W drodze powrotnej do oddziału mijałyśmy kolumnę samochodów prowadzonych przez nasze ochotniczki - drajwerki. Przy kierownicy jednego z wozów siedziała ochotniczka, o której wiem, że wstąpiła do PSK po zajęciu Rzymu przez wojska sojusznicze. Więc „Rzymianka", taka, która nie należy do „niektórych". Miała skupiony wyraz twarzy i oczy — szczęśliwe. Napewno wybrała lepszą cząstkę...

Hanka, Danka albo Krysia.

SAN MICHELE

Gdy w r. 1934 przeczytałem Axela Munthe „Księgę z San Michele", miałem radość z książki pięknie i zajmująco napisanej, ale i pewne zastrzeżenia. Raził mnie egocentryzm autora. Nie mniej jednak nęciła mnie willa S. Michele.

Teteż, gdy w czerwcu 1944 r. wioślarz, wiozący mnie łodzią, z Groty Lazurowej do brzegu wyspy, wskazał mi wysoko na górze białe mury San Michele, nie zawahałem się ani na chwilę. Willa ta wydawała mi się ważniejsza od pałacu Tyberiusza i zamku Barbarossy. Nie nęciła mnie ani willa Gorkiego, ani hr. Ciano, ani przejażdżka po Capri. Podjechaliśmy do pewnej wysokości, po czym już nie więcej jak 5 minut pieszo szło się na miejsce.

Na prawo od niskiej, ciężkiej, drewnianej bramy wejściowej, wmurowana niewielka tablica marmurowa zapowiadająca po łacinie, że dom ten poświęcony św. Michałowi. Na zydlu przed bramą starszawa, czarna, brzydka Włoszka. Pytam ją o dr Axela Munthe. — „Żyje, od roku jest w Szwecji". — „A kto jest tu z jego, dawnej służby?". — „Tylko ja, córka Rosiny, o której doktór pisze w książce". — Uśmiechnęła się dumnie. Rozmawiałem więc z córką Rosiny i jeżeli się nie mylę, wnuczką Mastro Vincenza. Maria „Porta lettere" dawno umarła i nikogo już teraz „z książki" nie spotkam w willi.

Ajednak spotkałem. Była to przyjaciółka Axela Munthe, tłumaczka jego książki na język niemiecki. Spełniała rolę cicerone'a. Starsza pani, w skromnej sukni, w śnieżno białym, męskim panamu, pokrywającym siwe jedwabne włosy, wpadające w delikatny fiolet, tak ślicznie harmonizujący z kolorem sukni. W każdym ruchu, słowie, dystynkcja damy. Żegnała właśnie jakąś wycieczkę amerykańską. Poprosiłem o zezwolenie dla siebie i mych przyjaciół na zwiedzenie San Michele.

„Jestem wprawdzie już „po urzędowaniu", ale gości Polaków nie mogę i nie umiałabym odprawić od bramy, nie porozmawiawszy z nimi bodaj chwilę", — Szła przed nami, a kawalkadę zamykał wysoki, silny, młody Amerykanin z opaską na lewym ramieniu: M. P. Policman. Od czasu, gdy jakiś miłośnik starożytności „odkrył" w willi niewielką rzeźbę, dającą się schować w kieszeni, ten M.P. jest stałym i wcale nie dyskretnym towarzyszem wycieczek w San Michele.

W niewielkim kwadratowym pokoju zasiedliśmy na krzesłach i kamiennych ławkach ustawionych wzdłuż ścian. Towarzyszka nasza od razu płynnie nas informowała:

Jestem przyjaciółką Axela Munthe i tłumaczką jego książki na język niemiecki. Doktor Munthe liczy obecnie 86 lat, cieszy się dobrym zdrowiem i bawi od roku w Szwecji, gdzie jest gościem króla, w jego pałacu. Niedźwiedzie polarne nie znoszą gorąca południa — i Munthe corocznie w okresie upałów, jeździ chłodzić się do swej ojczyzny. W tym roku pobyt jego tam trwa wyjątkowo dłużej. Ja odgrywam tu rolę kustosza i cicerone. Znacie „Księgę z San Michele" — o niej więc nie będę mówiła — a jej autor? Swietny lekarz, miłośnik wszelkiego piękna, malarz, rysownik i architekt, muzyk, który i dziś jeszcze posiada piękny głos. Willa zbudowana jest ściśle według jego planów. Uczynił bardzo wiele dla ludu kapryjskiego, służy mu jako lekarz, bezinteresowny i dobry, cieszy się szacunkiem i miłością, która udziela się nawet jego synowi. Gdy ten, oficer armii angielskiej, przyjechał niedawno w przepisowym stroju szkockim, uradowani— ale i rozweseleni tubylcy przybiegli do mnie z wiadomością, że przyjechał syn doktora „un uomo vestito da donna" (mężczyzna w stroju kobiecym). — Doktor Munthe nie mieszka ostatnio w San Michele, ale w swej posiadłości Torre di Materita, a San Michele jest już raczej muzeum. Chcę państwu opowiedzieć pewien ciekawy szczegół z życia Munthego: Cierpiał bardzo z powodu utraty wzroku. Odzyskał wzrok dopiero w roku 1936, dzięki świetnej operacji prof. Vogta w Szwajcarii. Trudno mi opisać szczęście i radość dr Munthe, gdy patrzył i widział każdą drobnostkę. gdy znowu poraz pierwszy spojrzał na gwiazdy, które kocha, jak ptaki. Ale najciekawsze w tym jest jedno: Munthe odzyskał wyrok 4. października w dzień św. Franciszka z Assyżu. Przypadek to — czy też nie wierzyć raczej w cud za sprawą św. Franciszka, opiekuna ptaków, na człowieku, który ptactwo tak bardzo kochał i nim — na wzór świętego — serdecznie się opiekował?".

Opowiedziawszy to wszystko, Uexkull oprowadzała nas po willi. Więc pracownia doktora i salonik oddzielony od niej dwoma czy trzema kolumnami, dzwigającymi łuki stropu. Jadalnia — kilka wykopanych czy zakupionych rzeźb, zwisające lampy, misternej roboty sycylijskiej, jakaś kopia lampy kościelnej, piękny stary stół marmurowy, zdaje się z okresu Tyberiusza. Stół ten służył poprzedniej jego właścicielce do prania bielizny. Kawał podłogi wyłożonej mozaiką kamyczkową — kopia takiej samej mozaiki z Pompei. Axel Munthe sam narysował kopię i pomagał robotnikom, godzinami klęcząc na ziemi i układając drobne kamyczki. Wszystkie pokoje niskie, biało malowane — pozbawione jakichkolwiek ozdób ściennych, czynią wrażenie miniaturowych komnat jakiegoś zamczyska. Pokój ostatni, oddzielony od dalszej części willi jednoskrzydłowymi drzwiami, złożonymi z połowy górnej i dolnej. W pośrodku zamek jakiejś bardzo skomplikowanej i misternej roboty. Pani Uexkull zajęła zręcznie naszą uwagę objaśnieniem niezrozumiałej nawet i dla niej mechaniki zamka i przystąpiwszy nagle do drzwi, otworzyła górną ich połowę. Efekt — jak z bajki. Ujrzeliśmy, jakby w ramę ujęty piękny obraz: zieleń ogrodu upiększona rzeźbami i filarami, czy też odwrotnie, rzeźby i filary ozdobione ogrodem. Amorek i Hermes, cudnej piękności Apollo, Zeus i Meduza, Diana — nie wyliczę tych wszystkich zbiorów odkopanych i w morzu znalezionych, zakupionych i kopiowanych z oryginałów, marmurów lśniących dziesiątkami barw w zaczarowanej loggii, po której przechadzał się Augustus i Tyberiusz.

Pani Uexkull objaśniła pochodzenie zbiorów. Wszystko, co mówiła było o Axel Munthe'm — nic o imperatorach, ani słowa o Mastro Vincenzo, właścicielu winnicy, która kryła w sobie — przed nabyciem jej przez szwedzkiego doktora — skarby starożytności.

I nagle przeskok: — „W jaki sposób Polacy dostali się do Włoch?".

„Najprostszą drogą. Z domu zagnani na Sybir w tajgi, do obozów koncentracyjnych, na kolonie karne i do więzień — po 2 latach zwolnieni „amnestią", zaczęli w mrozach dochodzących do 65 stopni, o głodzie, w łachmanach organizować się w wojsko".

„Jakto zwolnieni amnestią?".

„Bo w oczach „pewnych ludzi", jesteśmy takimi zbrodniarzami, że wolność osiągnąć możemy dopiero po odbyciu należnej nam kary — albo dzięki łasce amnestii. Potem przez rozmaite Kazachstany i Uzbekistany, dotarliśmy do Persji. Stamtąd — po krótkim postoju dla zaczerpnięcia wolnego powietrza, na pustynię Iraku, dalej do Palestyny i Egiptu, gdzie część naszych żołnierzy miała już przed tym do załatwienia pewne znane sprawy w Tobruku i Gazali — i już prosta droga morska do Włoch".

„Droga nie skomplikowana — i podróż dość interesująca. Wie pan — mało znam Polaków — ale mam dwu przyjaciół w Polsce: Henryka Ochenkowskiego i Czartoryskiego. Wiem tylko, że Polacy, to poeci".

„I ludzie z fantazją. Czy przypuszcza Pani, że bez fantazji żołnierskiej można było zdobyć Monte Cassino?

Pospacerowaliśmy dalej, by zatrzymać się przy kolanowym zgięciu ogrodu, prowadzącym w prawo. Znowu zręcznie zastąpiła nam drogę nasza cicerone — i po chwili dopiero dała przejście. Mieliśmy przed sobą miniaturową aleję obramowaną z jednej strony kolumnami — z drugiej zielenią. Około 5 m. szeroka aleja kolumnowa; spacer cesarzy. Odpoczynek cezarów: łoże ustawione na lekkim wzniesieniu tak, że spoczywający „mógł się upajać szerokim i wspaniałym widokiem wzgórz, wybrzeża i urocza plaża Sorrento". Na tym zapewne cubiculum Augustus, jak opisuje jego historiograf: „po obiedzie nieco odpoczywał, zupełnie ubrany i obuty, nogi kocem okrywszy i ręką przysłoniwszy oczy" — „opposita ad oculos manu".

Doszliśmy do końca, by znaleźć się przed resztą kościółka, kaplica sw. Michała — patrona posiadłości dra Munthe. Po drodze, mały granitowy sfinks, o który dwoje z naszego towarzystwa oparło się przypadkiem. Zauważyła to nasza przewodniczka: „Istnieje legenda, że nie umyślne dotknięcie tego sfinksa, daje spełnienie życzeń, które się w tej chwili miało". — Koleżanka moja Zosia P. — powiedziała: — „Nie wiem dlaczego pomyślałam o powrocie do domu". — Myślała za nas wszystkich...

Padło słowo Estonia. — „Kiedy Pani ostatnio była w swoim kraju?".

„W r. 39-ym.

„Czemu Pani wyjechała?

„Chyba nikt lepiej od Was nie powinien znać powodu".

Wzdłuż całej drogi, którą stworzyli sobie imperatorzy dla przechadzki, a którą odtworzył Axel Munthe, i z kamiennej altany na Capodimonte — roztacza się przepiękny widok na morze zlewające się w dali z błękitem nieba, na wyrastające z wody skaliste wysepki i smutne — u stóp naszych — resztki kąpieliska Tyberiusza. Dwie kultury narastały, składając się na stworzenie małego uroczyska: rzymska i chrześcijańska. Podziwiamy ich artyzm i szlachetność, piękno i pomysłowość — i my ludzie XX wieku — ich nowoczesność.

Oparci o kamienną balustradę, spoglądamy w dal i słuchamy opowiadania Pani Uexkull o walkach francusko-angielskich o panowanie na Capri. — „Francuzi mieli ciężki orzech do zgryzienia — trzeba było zdobywać tę stromą prostopadłą skałę, bronioną ze szczytu przez Anglików". — Uśmiechnąłem się — a uśmiech mój podchwyciła i zrozumiała przyjaciółka Munthego: — „To byłoby coś dla Polaków". — Fraszka, proszę pani. Przy ówczesnym uzbrojeniu nieprzyjaciół, — wyczyn sportowy".

Ktoś ze służby powiadomił panią Uexkull, że czeka na nią auto. Kazała szoferowi odjechać, bo chce pozostać jeszcze chwilę z nami. Obiecaliśmy ją odwieźć do domu, jednym z naszych wozów. Jeszcze obejrzeliśmy groby ulubionych psów doktora Munthe, po czym autami zjechaliśmy z San Michele. Na jakimś obszernym placu wysiadła pani Uexkull i serdecznie się z nami pożegnała. Słyszałem, jak pytających ją kaprajczyków objaśniła, że to Polacy: „sono molto simpatici". I posłyszałem, jak ją tytułowano: contessa.

Więc to może ta urocza hrabianka, pacjentka Munthego, którą leczył przed jej ślubem z młodym hrabią? Osoba z „książki".

Opuszczam Capri, rozmyślając o San Michele i jego twórcy. Willa jest urocza, nagromadzone w niej rzeczy piękne, wartościowe, artystyczne, całość daje niezapomniane wrażenie, wkład pracy olbrzymi. Gdzie powód, że w myśli ciągle odbrązowuję Munthego?

Czytam w książke archeologa włoskiego, członka Akademii Królewskiej, że: „istotnym, prawdziwym w San Michele jest cubiculum, z którego pozostały dwie antyczne ściany z czerwonym, lekko przybladłym malowidłem, w środku którego uderzają dwa białe pola. Posiada ono jeszcze oryginalną podłogę, z czarno-białej mozaiki, taką, jaką spotykamy w cubiculach i alkowach pompejańskich. Drugim uratowanym z posiadłości „Mastro Vincenzo" autentykiem, to resztki niskiego muru, pozostałość oryginalnej loggii cesarzy, prowadzącej do cubiculum. Wszystko inne — poza resztą kapliczki — to dzieło fantazji Munthego, niewątpliwie pomysłowo, pięknie i artystycznie ozdobione".

Z pobłażliwością uczonego, radzi Amadeo Miauri pozostawić, cierpiącemu jeszcze wówczas z powodu ślepoty doskonałemu pisarzowi, radość jego odkryć na Capri, a dla siebie oddzielić mit od prawdy.

Dr Henryk Berger

Listy do Redakcji

O łączność z „Ochotniczką"

Pragnęłabym wiedzieć, czy „Ochotniczka" zawsze dotrze do naszej gromadki, która pozostanie tu w Jerozolimie? Bo jeśli zachodzi perspektywa dalszych etapów — to nasuwa się pytanie, czy będziemy miały z Wami łączność. Łącznikiem tym pozostanie „Ochotniczka", która bardzo mile jest widziana i każdy nowy numer witany jest z zainteresowaniem i radością.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia dla wszystkich sióstr — ochotniczek — i Szanownej Redakcji.

Genowefa Supczakówna

W sprawie artykułu: „Praca kobiet w Rzymie"

Redakcja „Ochotniczki" otrzymała kilka listów w związku z zamieszczonym w numerze poprzednim artykułem p.t. „Praca Polek w Rzymie". Wszystkie listy zgodnie zgłaszają pretensje do redakcji naszego pisma, że zamieściła artykuły o tej pracy, która była raczej nikła w zestawieniu z pracą kobiet w P.S.K., nie mówiąc już o pracy naszych kobiet w Kraju. Czytelnicy i czytelniczki zapytują też, ile „Rzymianek" wstąpiło do P.S.K.

Jest niewątpliwie dużo słuszności w stawianych redakcji zarzutach. Zwłaszcza, jeżeli sprawę weźmiemy porównawczo. Ale inne były warunki i inne potrzeby naszej wojennej emigracji w Rzymie, dobrze więc, że znalazły się jednostki i grupy, które w miarę możliwości starały się pracować niechby i na zasadach filantropii. Zaznaczenie tej dobrej woli Polek w Rzymie, które pomagały nadto wielu Polakom przedostać się tam, gdzie można było wstąpić do wojska polskiego, które ratowały młodzież polską, uciekającą z szeregów przymusowych kadr roboczych, organizowanych przez Niemców — nie wydaje się nam zbędne. Natomiast odpowiedź na to, ile Polek w Rzymie przebywających wstąpiło do P.S.K., wypaść musi oczywiście na niekorzyść tych Polek. Tym samym zbyt pochopne twierdzenie autorki artykułu „Praca Polek w Rzymie" nie jest zgodne z rzeczywistością. Ale autorka, pisząc artykuł, była przekonana, że za przykładem nielicznych Polek, które natychmiast wstąpiło do P.S.K., pójdą inne. Niestety, tak się nie stało. Przykra to sprawa i nie czas dziś ją poruszać. Zanotowałyśmy sobie jednak dobrze w pamięcy wszystkie egoistyczne powody, które „nie pozwalają" tym paniom wstąpić do ochotniczej służby w P.S.K. Ich tani patriotyzm nie wytrzymał próby chwili, tak ciężkiej dla Polski.

KOLEŻANKI,

czytajcie i rozpowszechniajcie Wasze pismo: „Ochotniczka"

Odznaczone ochotniczki

KRONIKA

Odznaczenia ochotniczek P.S.K.

W uznaniu pracy ochotniczek P.S.K. podczas działań wojennych we Włoszech otrzymało Krzyż Walecznych — 6, srebrny Krzyż Zasługi z mieczami — 15, bronzowy Krzyż Zasługi z mieczami — 11 ochotniczek. Odznaczone zostały ochotniczki i siostry ze Służby Zdrowia, ochotniczki z Kompanii Kantyn i Kompanii Transportowej, więc z tych grup naszej pracy, które bezpośrednio pełniły służbę na rzecz walczących żołnierzy.

Uroczystość w Kompanii Transportowej

3. września, w dniu imienin Inspektorki Głównej Bronisławy Wysłouchowej odbyła się uroczystość wręczenia Krzyża Zasługi ochotniczkom Kompanii Transportowej przez Inspektorkę Gł. Przemawiając do ochotniczek, Inspektorka Gł. podkreśliła osiągnięcia Pomocniczej Służby Kobiet od początków organizowania się w Z.S.R.R. po chwilę obecną. Przez trzy lata naszej służby wojskowej zmiany organizacyjne szły w kierunku uznania naszej prawnej pozycji w wojsku. Intensywne wyszkolenie ochotniczek w rozmaitych działach służb usprawniło ich pracę, która daje teraz jaknajlepsze wyniki.

Skromną „lampkę wina", urządzoną dla Solenizantki przez Kompanię Transportową zaszczycili swoją obecnością Dowódca 2. Korpusu, gen. Anders, generałowie Bohusz-Szyszko, Szarecki i Sulik, oraz wielu gości. — Stoły ustawiono w sadzie wśród zamaskowanych namiotów Kompanii. Ożywione rozmowy przeciągnęły się do zmierzchu. Nastrój, tak serdeczny dla Solenizantki, mąciły troski o naszą Sprawę, która krwawi się w Warszawie.

Składki P.S.K. na pomoc walczącej Warszawie

W związku z imieninami Inspektorki Gł. Bronisławy Wysłouchowej, zamiast kwiatów złożyły ochotniczki i siostry P. S. K. 1. Szpitala Wojennego 59 funtów i 15 szylingów, ochotniczki i siostry 3. Szpitala Wojennego 75 funtów 5 szylingów — na pomoc walczącej Warszawie. Ponadto ochotniczki P.S.K. złożyły sumę 36 tysięcy 60 lirów do dyspozycji Inspektorki Gł.

Dom wypoczynkowy P. S. K.

Dnia 26 sierpnia b.r. otwarty został w San Giorgio Dom Wypoczynkowy dla ochotniczek P.S.K. na 40 osób. Dom urządziła Y.W.C.A., a prowadzony jest wspólnie przez P.S.K. i Y.W.C.A. Miejscowość jest urocza, nad morzem, wille Domu Wypoczynkowego znajdują się w lasku, plaża własna. Pokoje na 1-3 osób. Okres odpoczynku trwa dwa tygodnie, chodzi bowiem o to, żeby jak najwięcej ochotniczek mogło korzystać z dobrze zasłużonego urlopu. Dopłata wynosi dziennie 25 lirów. Skierowanie do Domu Wypoczynkowego przez Inspektorat Główny P.S.K. (D-two Zgrupowania Służb).

Konkurs na odznakę P. S. K.

Rozpisany przez Inspektorat Gł. konkurs na odznakę P.S.K. wzbudził duże zainteresowanie. Nadesłano wiele projektów, świadczących o pomysłowości autorów i o zrozumieniu intencji odznaki. W najbliższym czasie zbierze się Sąd Konkursowy, poczem ogłoszone będą wyniki. Zasługujące na wyróżnienie — będą reprodukowane w „Ochotniczce".

„Junak" w dwulecie Szkół Mł. Ochotniczek

Czerwcowy numer „Junaka", poświęcony jest w całości „Dwuleciu Szkół Mł. Ochotniczek". Numer przedstawia się bardzo dobrze pod względem graficznym i zawiera bogatą treść, na którą złożyły się prawie wyłącznie artykuły i opowiadania młodszych ochotniczek. Z części sprawozdawczej wyjmujemy następujące dane:

„Mówiąc o organizacji Szkół Mł. Ochotniczek, nie można pominąć sprawy ilości oddziałów w każdej szkole, która ulegała dużym zmianom, zależnie od przypływu i odpływu mł. ochotniczek. I tak w pierwszym roku szkolnym (2.I.1943 do 7.VII.1943 r.) S.M.O. miało 16 oddziałów:

Gimnazjum i Liceum Hum.	10 oddz.
Szkoła Powszechna	4 „
Kurs Spółdzielczo-Handlowy	2 „

w drugim roku (1.IX.1943 r. do 15.II.1944 r.) było 25 oddziałów:

Gimnazjum i Liceum Hum.	17 oddz.
Szkoła Powsz.	5 „
Gimnazjum Kupieckie	5 „
Kurs Spółdzielczo-Handlowy	7 „

w trzecim roku szkolnym, zaczętym 16.II. 1944 r. mamy 26 oddziałów:

Gimnazjum i Liceum Hum.	9 oddz.
„ „ „ Pedag.	7 „
„ Kupieckie	3 „
Szkoła Powszechna	7 „

Bilans istnienia S.M.O. przedstawia się jak następuje: Szkołę Powszechną ukończyło 100 uczennic, Kurs Spółdzielczo-Handlowy 24 uczenice. Swiadectwo ukończenia Gimnazjum Ogólnokształc. (mała matura) otrzymało 181, maturę licealną zdało 66 uczennic".

„Union Jack" o kierowczyniach P. S. K.

W numerze 209 (31. sierpnień 1944 r.) „Union Jack", dziennika przeznaczonego dla brytyjskich wojsk walczących we Włoszech, ukazała się następująca notatka p.t. „Kobiety":

„Wzdłuż brzegu Adriatyku sunie trzytonówka. Przy kierownicy dziewczyna spokojna, pewna siebie. Ma prawo być taką — ta polska kierowczyni P.S.K. z Kompanii Transportowej, która tak świetnie i niezmordowanie pracuje w 2. Korpusie. — Polski żołnierz z karabinem w ręku siedzi na wozie i z uwagą śledzi swoje otoczenie. Bowiem pasażerami wozu są przedstawiciele „Herrenvolku", których odwozi się do obozu jeńców na tyły. — Muszą się oni w tej sytuacji czuć bardzo nieswojo. Czyż ich „Fuehrer" nie mówił im, że miejscem kobiety jest tylko dom?"

Tak brzmi przyjazna notatka „Union Jack". Nasza pointa jest nieco inna. Nie o wypowiedzi Fuehrera o przeznaczeniu kobiet tu chodzi, ale o fakt, że to Polka transportuje jeńców niemieckich. A także i o to, co czuła polska kierowczyni w tej chwili, kiedy tak spokojna i pewna siebie wiozła wziętych do niewoli nieprzyjaciół. Dziennikarz angielski nie wiedział o tym, że konwojujący jeńców polski podoficer zwrócił się do kierowczyni, wskazując na jeńca — oficera: „Tu jest oficer niemiecki i on usiądzie koło pani w szoferce". Ochotniczka — kierowczyni odpowiedziała bez namysłu: „Nie, to pan usiądzie przy mnie, a on, chociaż oficer, będzie jechał z innymi jeńcami". — Tak się też stało. Jakież bowiem względy można mieć dla tych, którzy stosują równouprawnione okrucieństwo wobec kobiet i dzieci?